

Kronika
przypadków kota
Kopernika





Kronika przypadków kota Kopernika



Organizator konkursu „Kot Kopernika. Przygody na Warmii”:
Warmińsko-Mazurski Kopernikański Instytut Kultury działający
przy Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie



Wydawnictwo i konkurs sfinansowano dzięki środkom
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



Partnerzy i Przyjaciele:

Warmińsko-Mazurska Biblioteka Publiczna w Olsztynie
REMONDIS WARMIA-MAZURY Spółka z o.o.

Wydawnictwo ElSet



Portal Kopernik na Warmii – wiedza, ciekawostki, newsy, kalendarium zdarzeń.
Wszystko o Warmii, wszystko o Koperniku.
Sprawdź na: kopernik.warmia.mazury.pl



Zeskanuj mnie :-)

Kroniką
przypadków kota
Kopernika



KOMISJA KONKURSOWA

Iwona Łazicka-Pawlak – przewodnicząca

Artystka malarka, poetka, animatorka kultury, wieloletnia dyrektorka Pałacu Młodzieży w Olsztynie

dr Małgorzata Bojarska-Waszczyk

Artystka wizualna, autorka wielu wystaw, kuratorka, wieloletnia dyrektorka Biura Wystaw Artystycznych w Olsztynie

Anna Jaroszyk

Opiekunka i koordynatorka Szlaku Kopernikowskiego na Warmii i Mazurach, wicedyrektorka Departamentu Turystyki i Sportu w Urzędzie Marszałkowskim

Jolanta Wiszniewska

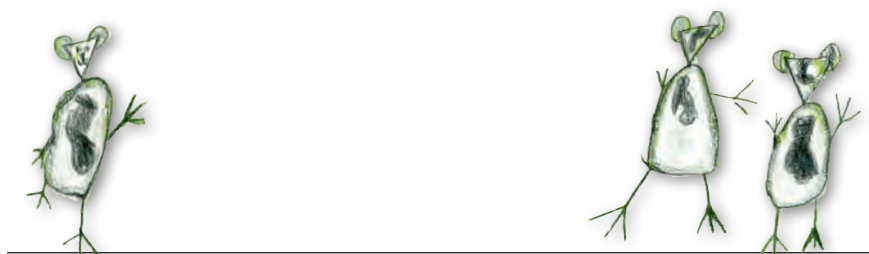
Dziennikarka telewizyjna, prezenterka, piosenkarka, dyrektorka biura Stowarzyszenia Szlak Świętej Warmii

Ada Romanowska

Redaktorka naczelna portalu *Kopernik na Warmii*, dziennikarka Gazety Olsztyńskiej, pomysłodawczyni konkursu

Marcin Kapłon

Szef Warmińsko-Mazurskiego Kopernikańskiego Instytutu Kultury, wicedyrektor Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie, pomysłodawca konkursu



Czy Mikołaj Kopernik miał kota?



A tak, i to nie tylko jednego! Wszystko zaczęło się w 2006 roku, w szwedzkiej bibliotece w Uppsali, gdzie szwedzcy i polscy naukowcy badali księgi należące do Kopernika. Szukali wówczas śladów genetycznych astronoma, takich jak np. włosy. I faktycznie, znaleźli kilkanaście różnych włosów, z których dwa należały prawdopodobnie do naszego uczonego, ale niektóre okazały się sierścią... dwóch kocurów.

Czy to możliwe? Sierść warmińskich kotów w księgach najslynniejszego polskiego astronoma?! Nie tylko możliwe, ale i pewne. Co więcej, wiemy, że jeden z kotów był bury, a drugi rudy. A skoro Kopernik pozwalał im wylegiwać się na swoich księgach, to chyba musiał być z nimi bardzo związany...

Pewnego zimowego dnia w 2026 roku w Warmińsko-Mazurskim Kopernikańskim Instytucie Kultury rozmawialiśmy o tajemnicach starych ksiąg i o tym, jak wiele jeszcze nie wiemy o życiu naszego astronoma. I to wówczas wykiełkował w naszych głowach pomysł na konkurs literacko-plastyczny o przygodach kota, który uciekł Mikołajowi Kopernikowi i włóczy się po Warmii; konkurs, którego dorobek prezentujemy w tej książce.

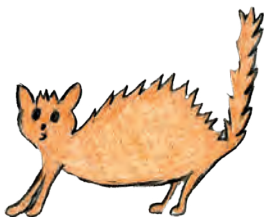
Jak się okazało, był to pomysł całkiem niezły. Otrzymaliśmy aż 122 wspaniałe opowiadania i rysunki od dzieci z klas IV–VI z całego województwa warmińsko-mazurskiego. Po wielu godzinach czytania, oglądania i gorących dyskusji wybraliśmy 47 laureatów. W książce, którą trzymasz w rękach, prezentujemy wszystkie nagrodzone i wyróżnione prace. Czasami wyróżniliśmy opowiadania wraz z rysunkami, czasem same rysunki, a czasem same teksty – wszystko jest odpowiednio oznaczone i czytelne.

I tak oto, dzięki Wam, Drodzy Autorzy, odkryliśmy wspólnie jeszcze jedną tajemnicę Mikołaja Kopernika. Dzięki Waszej ogromnej wyobraźni i wielkiemu talentowi wiemy już, co robił (lub co mógł robić) kot, którym opiekował się warmiński uczoney. Bo Kopernik był nie tylko astronomem, lekarzem, prawnikiem, tłumaczem, ekonomistą, urzędnikiem, strategiem, duchownym, kartografem, matematykiem i inżynierem (tak, on naprawdę zajmował się tym wszystkim!). Mikołaj Kopernik był przede wszystkim wrażliwym człowiekiem, który kochał koty.

Co zresztą wcale nie dziwi. Bo jak tu nie kochać kotów...

Marcin Kapłon
Warmińsko-Mazurski Kopernikański Instytut Kultury

Od redakcji



Zanim rozpoczniesz fascynującą podróż śladami kota Kopernika, pozwól nam na kilka zdań wyjaśnienia. W publikacjach prezentujących dorobek wielu autorów, takich jak ta, redaktorzy muszą poruszać się wyjątkowo ostrożnie i z wyczuciem. I to tym większym, że – jak się domyślamy – wszyscy nasi Autorzy to debiutanci.

Na początku musimy podkreślić, że jesteśmy pod ogromnym wrażeniem Waszego talentu, wrażliwości i kreatywności. Każdy z Was powinien być z siebie dumny, tak jak my jesteśmy dumni z Was wszystkich. Prosimy, nie przestawajcie pisać, malować i tworzyć, bo w tym tkwi wasza wyjątkowość.

Wracając do spraw redakcyjnych...

Aby ułatwić uczestnikom wczucie się w temat konkursu, organizatorzy przygotowali tekst wprowadzający, z którego nasi Autorzy mogli dowiedzieć się, jak Kopernik poznał swojego kota **Urwisa** i jak za nim tęsknił. Dlatego właśnie w wielu opowiadaniach kot występuje pod tym imieniem. Z tekstem tym możecie zapoznać się na stronie Organizatora konkursu, czyli Warmińsko-Mazurskiego Kopernikańskiego Instytutu Kultury, działającego przy Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie.

Teoretycznie to do redakcji należy znalezienie i poprawienie ewentualnych błędów rzeczowych i nieścisłości. Zdecydowaliśmy jednak, że tym razem oddamy Wam, Autorom, prawo do nieskrępowanej fantazji (i popełniania pomyłek), a niektóre sprawy po prostu omówimy we wstępie. Czasem wtrąciliśmy swoje trzy grosze w tytuły opowiadań. W kilku przypadkach trochę pozmienialiśmy, a czasem wymyśliśmy je na nowo. Wszystko to zrobiliśmy w trosce o jak najciekawszą lekturę i o to, by tytuły były niepowtarzalne, zaciekawiające i zgodne z treścią. Mamy nadzieję, że Autorzy nam to wybaczą...

Pamiętaj zatem, Drogi Czytelniku, że:

- Kopernik urodził się w Toruniu, ale mieszkał tam tylko do swoich osiemnastych urodzin. Potem wyjechał na studia do Krakowa i do Włoch, a później osiadł na Warmii. Tu przebywał przez czterdzieści lat, tu pracował, tu dokonał swoich odkryć, tu umarł i tu, we Fromborku, został pochowany. Najwięcej czasu spędził właśnie we Fromborku, przez pewien czas mieszkał też w Lidzbarku Warmińskim i Olsztynie. W Lubawie niestety nie mieszkał, ale bywał u swojego przyjaciela biskupa Tiedemanna Gisego, który także parał się astronomią i miał świetnie wyposażone obserwatorium astronomiczne. Najdłuższa wizyta Kopernika trwała ponad trzy miesiące, mógł więc z powodzeniem także tutaj prowadzić swoje obserwacje.
- We Fromborku, na Wzgórzu Katedralnym, nie było zamku. Były za to i są po dziś Bazylika Katedralna pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i św. Andrzeja Apostoła, dawny pałac biskupi, dzwonnica, zwana Wieżą Radziejowskiego, Wieża

Kopernika, Brama Południowa i kanonie wewnętrzne. Wszystkie te obiekty otoczone były murem, który sprawiał, że całe wzgórze miało charakter fortyfikacji obronnej strzeżonej i bronionej przez wojska własne i zaciężne. Poszczególni kanonicy mieli obowiązek utrzymywania porządku i wykonywania remontów przydzielonych im odcinków murów i baszt. Warowny zespół katedralny był wielokrotnie oblegany przez wojska polskie, czeskie, litewskie i krzyżackie.

- Kopernik prowadził swoje obserwacje gołym okiem, a nie przez lunetę, którą wynaleziono dopiero sześćdziesiąt pięć lat po jego śmierci. Mógł natomiast korzystać ze współczesnych mu przyrządów, takich jak:
 - astrolabium (sfera armilarna) – przyrząd składający się z sześciu, kręcących się wokół siebie obręczy, który służył do określania położenia Księżyca i innych planet na niebie,
 - kwadrant – naniesiona na płaską drewnianą tablicę ćwiartka okręgu z naniesioną podziałką kątową, po której przesuwiał się przeziernik. Służył do wyznaczania położenia gwiazd,
 - trójkąt paralaktyczny (trikwetrum) – przyrząd składający się z trzech lasek, z których dwie były równej długości i wynosiły przynajmniej po cztery łokcie (1 łokieć równa się około 49 cm), a trzecia była nieco dłuższa. Górne ramię było wyposażone w przezierniki, a dolne w podziałkę, co pozwalało na precyzyjne mierzenie wysokości ciał niebieskich. Oba elementy mogły obracać się wokół słupka, co umożliwiało pomiary w wielu pozycjach,
 - cyrkiel kroczkowy – niewielkie narzędzie ułatwiające pomiary astronomiczne, geodezyjne i kartograficzne. Pozwalało na precyzyjne odmierzanie i przenoszenie odległości,
 - tablica astronomiczna – jedyny na świecie, istniejący do dziś przyrząd własnoręcznie wykonany przez Kopernika. Służył do wskazywania równonocy wiosennej i jesiennej. Znajduje się na ścianie zamkowego krużganku w Olsztynie. Ma 7,05 m długości i 1,4 m wysokości i jest namalowana na podwójnej warstwie tynku techniką mokrego fresku. Do naszych czasów zachowało się kilka jej fragmentów, na których widać namalowane czerwoną farbą niemal równoległe, ukośne linie. Inne linie namalowane są farbą niebieską, jeszcze inne czarną. Linie oznaczone są cyframi rzymskimi i arabskimi, na tynku widać też pojedyncze litery T, I, C. Kopernik rysował tablicę przy wejściu do swojej komnaty. Żeby obserwować ruch Słońca, na baszcie zamkowej zamontował lustro, a przy oknie, prawdopodobnie na parapecie, kolejne małe lustro. Linie wyznaczone przez „zajęczki” były utrwalane na tablicy.

A teraz zapraszamy do lektury!



Urwis i jego przyjaciele

Pewnego poranka, gdy Mikołaj Kopernik pochylał się nad swoimi obliczeniami, Urwis uznał, że czas na przygodę. Wymknął się cicho z domu i ruszył przed siebie, nie oglądając się na swojego właściciela.

Najpierw włóczył się uliczkami Fromborka, potem po łąkach, aż w końcu dotarł do starego, zapomnianego sadu. Tam, między korzeniami wielkiego drzewa, dostrzegł coś intrygującego – czarną, tajemniczą dziurę w ziemi. Zajrzał do środka. Powiało chłodem i czymś magicznym zarazem.

– A co mi tam – mruknął i wskoczył.

Spadał przez dłuższą chwilę, aż wylądował miękko na łapach. Rozejrzał się i zamiauczał z zachwytu. Trafił do niezwykłego miejsca, gdzie wszystko było trochę dziwne, trochę piękne, a przede wszystkim... pełne innych kotów.

– Witaj, nieznajomy! – odezwał się elegancki kot w wysokich butach i kapeluszu.

– Jestem Urwis – odpowiedział Urwis, lekko onieśmielony.

– A ja jestem Kot w Butach! – odparł z ukłonem.

Zanim Urwis zdążył coś dodać, znikąd pojawił się szeroko uśmiechnięty kot o przenikliwym spojrzeniu.

– Ha! Nowy gość! Uwielbiam nowych gości – zachichotał Kot z Cheshire, znikając i pojawiając się to tu, to tam.

Chwilę później nadbiegły jeszcze dwa koty: jeden mały, ciekawski i pełen energii, drugi starszy, większy i spokojniejszy, z lekkim uśmiechem.

– Jestem Filemon! – powiedział pierwszy.

– A ja Bonifacy – dodał drugi.

Szybko się zaprzyjaźnili. Dni mijały na zabawie, gonitwach, opowieściach i odkrywaniu zakątków tej magicznej krainy. Urwis niemal zapomniał o domu... aż pewnego dnia przyszła mu do głowy myśl.

– Słuchajcie! – zawołał. – A może odwiedzilibyście moje miasto? Frombork jest piękny! Są tam porty, statki, ryby... i mój człowiek, który daje najlepsze mleko na świecie.

Koty spojrzały po sobie.

– Brzmi jak przygoda – powiedział Kot w Butach.

– Idziemy! – krzyknął Filemon.

I tak cała kocia gromadka przeszła przez tajemniczą dziurę, która – ku zdziwieniu Urwisa – wciąż tam była.

We Fromborku wszystko wydawało się inne, ale równie interesujące. Najbardziej spodobał im się port. Szum fal, skrzywienie statków i zapach morza działały na nich jak magia. To właśnie tam spotkali mewę. Leżała na deskach pomostu, słaba i wyraźnie konająca. Obok niej znajdowało się jajo. Urwis podszedł powoli.

– Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy – powiedział cicho.

Mewa spojrzała na niego z trudem.

– Proszę... zaopiekuj się nim – wyszeptwała. – To moje dziecko...

Urwis skinął głową.

– Nie wiem, czy potrafię, ale obiecuję spróbować spełnić twoją prośbę.

Następnie mewa zamknęła oczy i już się nie poruszyła. Koty długo milczały wpatrzony w jajo mewy.

– Musimy się nim zająć – powiedział w końcu Urwis.

Zabrali jajko w bezpieczne miejsce. Ukryli się w starej szopie niedaleko portu. Wszyscy, bez wyjątku, pomagali. Ogrzewali je własnym ciepłem, pilnowali go w dzień oraz w nocy. I niespodziewanie nadeszła piękna chwila. Już następnego dnia skorupka zaczęła pękać. Z jajka wykuło się małe, nieporadne pisklę.

– Udało się! – krzyknął Filemon.

Jednak radość szybko ustąpiła miejsca trosce.

– Ludzie nie mogą go zobaczyć – powiedział Bonifacy. – Mogliby go zabrać albo skrzywdzić.

– Musimy go chronić – dodał Urwis.

Nie tylko ludzie byli powodem do zmartwienia. Problemem był także port pełen szczurów, odwiecznych kocich wrogów. Urwis jednak miał plan.

– Pójdę porozmawiać ze szczurami.





Reszta kotów spojrzała na niego z niedowierzaniem.
– To szaleństwo – mruknął Kot w Butach.
– Albo odwaga – uśmiechnął się Kot z Cheshire.
Urwis odnalazł szczury w ich kryjówce pod deskami portu.
– Przychodzę z propozycją rozejmu – powiedział stanowczo. – Mamy pisklę, które potrzebuje ochrony. Jeśli pomożecie nam je ukryć i pilnować, my nie będziemy was nękać i ścigać.
Szczury naradzały się chwilę. W końcu ich przywódca skinął głową.

– Zgoda. Przystajemy na waszą propozycję.

I tak powstał niezwykły pakt. Koty i szczury wspólnie opiekowały się pisklęciem. Wartę pełnili na zmianę dniem i nocą. Ukrywali je przed ludźmi, karmili i ogrzewali. Małe pisklę rozpoczęło naukę latania pod czujnym okiem swoich wyjątkowych opiekunów.

Któregoś wieczoru Urwis siedział na dachu starej szopy i patrzył na niebo. Gwiazdy świeciły jasno, a w jednej z fromborskich wież wciąż paliło się światło. Jego człowiek, Mikołaj Kopernik, pracował jak zawsze. Urwis zamyślił się głęboko.

– Dziwne to wszystko – mruknął do siebie. – Trafiłem do magicznej krainy pełnej kotów, przyprowadziłem ich tutaj, zawarłem pokój ze szczurami... i uratowaliśmy wspólnie życie ptasiego pisklęcia.

Obok niego pojawił się nagle Kot z Cheshire.

– Dziwne? – Uśmiechnął się jak zawsze szeroko. – A może właśnie takie zdarzenia nie są przypadkowe?

Urwis spojrział jeszcze raz na gwiazdy.

– Mój człowiek mówi, że świat się porusza, nawet jeśli tego nie widzimy – powiedział powoli. – I że wszystko ma swoje miejsce i sens.

– I myślisz, że ty też masz swoje miejsce? – zapytał Kot z Cheshire, znikając na chwilę i pojawiając się tuż obok.

Urwis kiwnął głową.

– Tak. Już nie myślę, że przypadkiem do niego trafiłem. Ja miałem się od niego czegoś nauczyć. On zmienia sposób, w jaki ludzie patrzą na niebo, a ja... – Zawahał się, ale tylko na moment. – A ja mogę zmieniać to, co jest tu, na ziemi, w naszym zwierzęcym świecie.

W tej właśnie chwili zrozumiał, że świat nie zmienia się tylko dzięki wielkim odkryciom i wielkim ludziom. Czasem zmienia się dzięki małym decyzjom, odwadze i trosce o innych. A on – zwykły, niezwykły kot – też może być częścią tej zmiany.

Tajna misja Urwisa

Wszystko zaczęło się pewnego pięknego słonecznego poranka na zamku. Ty, Mikołaju, jak zawsze byłeś zapracowany. Prowadziłeś obserwacje astronomiczne, ale lubiłeś też dni, kiedy spokojnie nie musiałeś zajmować się nudnym i żmudnym poborem podatków. Leżałem tuż obok ciebie. Ja, kot Urwis, twój najlepszy przyjaciel i kompan.

Czy pamiętasz, że w momencie, kiedy przechodziłeś do swojej szafki z dokumentami, zdarzył się wypadek? Na pewno to pamiętasz. Zostałeś uderzony przez spadającą patelnię, która leżała z niewiadomych względów niedbale na szafce nad twoją głową. Słyszając głośny huk, ja w swoim języku spytałem:

– Miauuu? – Co po kociemu oznaczało „co tam się stało”, ale nikt mi nie odpowiedział. Ty wtedy zemdlałeś i nie mogłeś usłyszeć swego kocura. Podeszedłem więc do ciebie i zacząłem wokół krążyć, przyglądając ci się dokładnie.

Po chwili się ocknąłeś i wstałeś, ale coś było z tobą nie tak... Miałeś „kuku na muniu”!

A co to oznaczało? Ano tyle, że obudziłeś się jako szalony Mikołaj! Ruszałeś się jak zombie, mówiłeś do siebie dziwne rzeczy, na przykład że dwa plus dwa to pięć albo „poszłem”. No nie!!! Zrozumiałem. Mikołaj ma „kuku na muniu”! Trzeba go ratować! Tylko jak!? Musiałem obmyślić jakiś plan. Po chwili ustaliłem, że pójdę na koci rynek i tam odwiedzę mistrza kociej medycyny. On na pewno coś mi doradzi. Może będzie znał lekarstwo na tę straszną chorobę? Jak zaplanowałem, tak uczyniłem.

Ale zanim wyruszyłem w drogę, zamknąłem ciebie, biedny Mikołaju, w jednej z wież fromborskiego zamku, abyś nie zrobił sobie krzywdy. Droga nie była długa, gdyż zamek był w samym centrum miasta, a koci rynek niedaleko. Po dotarciu tam, trochę czasu zajęło mi znalezienie kociego mistrza, ale wreszcie skierował mnie tam spotkany przypadkowo stary znajomy z Jonkowa. To właśnie stamtąd Mikołaju pochodzę. Na pewno pamiętasz! Uśmiechnąłem się sam do siebie na te wspomnienia i udałem się do mistrza, który za kilka kiesz złotych zgodził się mnie przyjąć.

Przedstawiłem mu problem i poprosiłem o pomoc i wskazówki. Wówczas mistrz rzekł:

– Tak, istnieje lekarstwo na „kuku na muniu”, niestety nie wiem, gdzie jest, ale słyszałem, że na targach w całej Polsce pojawia się tajemniczy kot kartograficzny, handlujący czarodziejskimi mapami. Nikt go nie zna, ani nie wie, gdzie i kiedy się pojawi, ale tylko on może ci pomóc. Być może posiada mapę, która wskaże ci drogę do lekarstwa zwanego „Knm”.

Podziękowałem za radę i udałem się na poszukiwania tajemniczego kota. Wędrowałem po całej Warmii i Mazurach, odwiedzając wszystkie znane mi, jak i wskazane przez poznane po drodze koty targi, między innymi w Olsztynie, Malborku, Biskupcu czy Lidzbarku Warmińskim.

Krążyłem od miasta do miasta od wielu dni, tracąc już nadzieję, gdy pewnego dnia, na jednym z targów, w Braniewie, spotkałem kota rozdającego za darmo peleryny. Było to na tyle dziwne zjawisko, że przystanąłem przy nim zaskoczony. Wówczas kot, jak się później okazało imieniem Łatek, wręczył mi czarną pelerynę, nic przy tym nie mówiąc i odchodząc w ciszy. Ja przez chwilę stałem jak wryty, nie wiedząc o co chodzi, ale po chwili się ocknąłem. Spojrzałem na pelerynę i zmieszany wsunąłem ją niedbale do plecaka, ruszając dalej na poszukiwania kota kartograficznego.

Niestety, kolejny dzień okazał się równie pechowy. Nikt z pytanych sprzedawców, ani klientów w ogóle nie słyszał lub też nie wiedział, gdzie jest ów czarodziej. Zrezygnowany wracałem już do swego lokum na noc, kiedy nagle niebo pociemniało i zaczął padać rzęsy, ciężki deszcz. Ja, Mikołaju, wiesz przecież, że jestem dzielnym kotem i niczego się nie boję, ale deszczu po prostu nie znoszę. W tym momencie przypomniałem sobie o prezencie, jaki dostałem na targu od nieznanego milczącego kota i pomyślałem, że świetnie się przyda w tej właśnie sytuacji.

Schowałem się przed deszczem, którego tak nie znośm. Wyciągnąłem pelerynę z plecaka, narzuciłem na swój grzbiet i nagle poczułem w brzuchu silne szarpnięcie, zrobiło się ciemno, zakręciło mi się w głowie. Wszystko na chwilę zniknęło, a gdy otworzyłem znów oczy, zobaczyłem, że znajduję się w dziwnym pomieszczeniu, wypełnionym najróżniejszymi książkami, dokumentami i mapami. Na środku pokoju siedział czarny kot i przyglądał mi się przymrużonymi oczami. Zdziwiony zapytałem:

– Gdzie ja jestem?



Wtedy czarny kot rzekł spokojnie:

– Szukałeś mnie przecież, inaczej nie otrzymałbyś peleryny od mojego wysłannika, Łatka, choć zrobił to niechętnie. Jestem kotem kartograficznym. W czym mogę ci pomóc?

W tym samym momencie za oknem zagrzmiął piorun i wszystko pojaśniało. Ja znów aż podskoczyłem ze strachu. Wtedy kot kartograficzny powiedział:

– Chodź, naleję ci trochę ciepłego mleka.

Kiedy usiedliśmy do stołu, zapytałem kota kartograficznego:

– Czy wiesz, gdzie można znaleźć lekarstwo na „kuku na muniu”?

Kot chwilę myślał, podrapał się za uchem, wygładził wąsa i odparł:

– Wiem... Ale nie wszystko jest za darmo... Dwadzieścia kies złota się należy.

Niechętnie zapłaciłem wskazaną sumę, gdyż złoto bardzo szybko zniknęło z mojej kieszeni i niewiele mi go zostało. Po zapłacie dowiedziałem się, że lekarstwo jest w Ostródzie, małym mieście niedaleko Olsztyna. Otrzymałem mapę prowadzącą do tego miasta, ale kot kartograficzny nie umiał niestety wskazać dokładnej lokalizacji lekarstwa. Powiedział, że ktoś jakby celowo zeszkrobał i zamalował dokładny punkt na mapie, ale nie wie kto. Podziękowałem za mapę, przynajmniej wiedziałem, gdzie mam się kierować, wyruszyłem w drogę do Ostródy.

Podczas dalszej wędrówki poczułem dreszcz, jakby ktoś mnie obserwował. Zza rogu coś na mnie patrzyło... Kontynuowałem wędrówkę. W połowie drogi zatrzymałem się w Gietrzwałdzie. Postanowiłem odpocząć, bo łapki mi zdrętwiały i byłem głodny. Zdecydowałem przejść się też na tamtejszy koci targ, niedaleko Karczmy Warmińskiej, bo przecież było tam wszystko! Kupiłem mleko oraz śmieszne gadzety do zabawy, w tym mięciutkie wełniane kłębki.

Nagle usłyszałem głośne miauczenie, a potem jeszcze głośniejsze... Szczekanie! Psy pojawiły się znikąd i zaczęły gonić wszystkich obecnych na targu. Ja uciekłem w popłochu za innymi kotami. Coś obserwowało całą sytuację z lekkim uśmiechem. Na szczęście wyszedłem z tego cało. Niestety nikt nie wiedział, kto wpuścił psy na koci targ i dlaczego. Chwilę po tym zdarzeniu ruszyłem dalej.

Po dotarciu do Ostródy zapytałem kota przechodnia, gdzie można znaleźć lekarstwo na „kuku na muniu”, bo otrzymana mapa wskazywała jedynie miejscowość, a nie pokazywała, jak uprzedził kot kartograficzny, lokalizacji poszukiwanego lekarstwa. Ten niestety nie wiedział, o czym w ogóle mówię. I znów zacząłem krążyć, tym razem po całym mieście w poszukiwaniu wskazówki, aż spotkałem znajomego kota Bonifacego, z którym w dawnych czasach łapałem myszy na zamku we Fromborku. Bonifacy był światowym kotem, wiele widział i wiedział. Na pytanie o „kuku na muniu” tylko się uśmiechnął i kiwnął nieśmiało palcem w stronę leśnej ścieżki.

Oczywiście poszedłem wskazanym szlakiem, a gdy dotarłem do końca drogi, aż złapałem się za głowę. Były tam wielkie tytanowe drzwi, na których było napisane: „kuku na muniu w cenie pięciuset kies złota”. Najpierw się ucieszyłem, że udało mi się tak łatwo odnaleźć miejsce docelowe, ale potem pomyślałem: „Przecież nie mam tyle, to fortuna!”. W kieszeniach brzęczały dwie ostatnie kiesy złota. „Pozostaje mi tylko jedno – pomyślałem. – Włamać się!”.

Szybko sobie przypomniałem ruchy miaurate, na które zapisałeś mnie kiedyś, Mikołaju. Przystąpiłem więc do działania. Rzuciłem kupiony na targu kłębek w stronę ochroniarzy, którzy od razu na niego się rzucili. W końcu, jaki kot oparłby się warmińskiemu kłębkowi? Wtedy uchyliłem drzwi i niepostrzeżenie wślizgnąłem się przez nie do środka.

Założyłem czarną szatę, dzięki której nikt nie miał mnie zauważyć. Potem czekała mnie niemiła niespodzianka. Zobaczyłem... lasery! Na szczęście znałem miaurate i dzięki swojej kociej zwinności łatwo sobie z nimi poradziłem. Dalej zauważyłem roboty-stróże, które (jak sama nazwa wskazuje) stróżowały. Na to również znalazłem rozwiązanie. Wykorzystałem kupiony pistolet na wodę do denerwowania innych kotów. Jak można było się spodziewać, roboty się rozpadły po zetknięciu wodą, ze względu na zwarcie. Po przejściu kolejnych pułapek dostrzegłem na końcu korytarza coś świeżącego. To było... „kuku na muniu”! Nagle w pomieszczeniu zabrzmiał znajomy głos. To był... Łatek! Łatek wypowiedział słowa, których się nie spodziewałem:

– To ja sabotowałem twoją wędrówkę! Nie chciałem, abyś dostarczył Mikołajowi lekarstwo. To on pobrał ode mnie pięć kies złota podatku. Chciałem się zemścić. Dotarłeś tu jednak, dlatego rozprawię się z tobą tu i teraz!

Wtedy szybko sięgnąłem po zabawkowe miecze, które kupiłem w Gietrzwałdzie, natomiast Łatek wyciągnął prawdziwy miecz. Bitwa była długa i zacięła. Łatek walczył dzielnie, ale ja byłem zwinniejszy i szybszy. Wreszcie wygrałem! Związałem Łatka, wziąłem „kuku na muniu” i wróciłem do domu.

Po paru dniach wędrówki dotarłem do twojej wieży i podałem ci lekarstwo. Biedny Mikołaju, krążyłeś wtedy po swej małej izbie jak te planety, o których ciągle opowiadasz. Od razu po podaniu leku szybko uciekłem i wróciłem dopiero po kilku dniach. Ku mojej radości byłeś już zdrowy i byłeś sobą. Jak zawsze stałeś w swojej pracowni, zamyślony nad swymi projektami (akurat tworzyłeś dziwną konstrukcję kulek krążących wokół siebie i coś mruczałeś o Ziemi i o Słońcu). Gdy mnie zauważyłeś, bardzo się ucieszyłeś, mówiąc:

– Gdzie ty się podziewałeś, kocurze... Już myślałem, że gdzieś uciekłeś! Tylko myszy ci w głowie.

Ja na to tylko się uśmiechnąłem. No bo cóż mógłbym powiedzieć poza:

– Miauuu.

Urwis i magiczna Warmia

Kot Urwis mieszkał na zamku we Fromborku już dziesięć lat. Znał tutaj każdy zakamarek i zaczęła go dopadać nuda. Mikołaj Kopernik dobrze opiekował się swoim pupilem i kotek czuł się w zamku znakomicie. Miał mięciutkie legowisko z baraniej skóry, na którym wylegiwał się całymi dniami, a w nocy polował na zamkowe myszy i szczury. Pewnego razu Urwisa odwiedził jego stary przyjaciel gołąb.

– Skoro tak się nudzisz, Urwisie, to może chciałbyś poznać naszą piękną Warmię – powiedział gołąb.

– Tu, na zamku we Fromborku, czuję się najlepiej – odparł kot.

– Moim zdaniem warto poznać warmińskie zakątki – zachęcał gołąb.

Kotek przemyślał propozycję gołębia. Rozejrzał się po dziedzińcu i zobaczył wóz konny, którym przywieziono warzywa i owoce do zamkowej kuchni. Korzystając z nieuwagi woźnicy, wskoczył na wóz. Schował się w pustej skrzyni. W trakcie drogi usłyszał, jak konie rozmawiają, że jadą do Braniewa. Na miejscu Urwis wyskoczył z wozu, rozejrzał się i pomyślał: „Ale tu jest pięknie”. Kotek robił się już głodny, bo nie zdążył zjeść śniadania. Wszedł do pierwszej chatki, którą napotkał, a tam zobaczył skrzata, który zaczął przyjaźnie mówić:

– Nie bój się mnie, kotku. Nigdy nie poznałeś żadnego barstuka?

– Nigdy. Kim jesteś? – zapytał wystraszony Urwis.

– Jestem skrzatem, który pilnuje jedzenia i zboża. Przynoszę szczęście gospodarstwu! Mieszkam w spichlerzach, stodołach, pod progami domów, ale nie każdy może mnie zobaczyć. Jeśli gospodarz jest leniwy albo chciwy, mogę zacząć psocić. Wtedy na przeprosiny trzeba dać mi kaszę i mleko. Proszę, poczęstuj się jedzeniem.

– Dziękuję, jesteś dla mnie bardzo miły. Chętnie zjem, bo niedługo wyruszam w dalszą podróż – odpowiedział Urwis.

– A może chciałbyś zostać w Braniewie trochę dłużej? To ważne miasto Warmii i ceniony port nad Zalewem Wiślanym. Ludzie handlują tu zbożem, a więc i myszy jest dużo. To miasto w sam raz dla ciebie, koty są u nas mile widziane.

– Gołąb opowiadał mi, że na Warmii jest pięknie, chcę zobaczyć więcej – odparł kot.

– W takim razie jedź z moim gospodarzem do Pieniężna, tylko uważaj na kłobuka.

On nie będzie taki miły jak ja! – ostrzegł barstuk.

– Dziękuję za gościnę, barstuku! I za ostrzeżenie! – zawołał Urwis i wskoczył na wóz.

Podróż do Pieniężna była dłuższa, ale bardzo przyjemna. Kotek cieszył się widokiem lasów i łąk. Pieniężno wydało się Urwisowi bardzo spokojnym miasteczkiem. Pomyślał,



że miło spędzi tu czas. Postanowił uciąć sobie drzemkę w stodole. Ledwo zamknął oczy, gdy poczuł straszliwy ból!

– Miauuu! – wrzasnął rozpaczliwie.

Jakiś czarny stwór przypominający koguta dziobnął go w ogon. Urwis przestraszył się nie na żarty i chciał uciekać, ale niestety drzwi stodoly były zamknięte. Stwór odezwał się pierwszy:

– Co tu robisz, pchlarzu? – zapytał niemilo Urwisa.

– Chciałem się tylko przespać. Czy jesteś kłobukiem?

– Cha, cha, cha – roześmiał się złowrogo stwór. – Jestem sławny! Tak, jestem kłobukiem i wszyscy się mnie boją. Kradnę jedzenie, zboże, a nawet pieniądze i przynoszę gospodarzowi. Ale jeśli mój właściciel nie traktuje mnie tak jak powinien, to mogę się zemścić i podpalić jego gospodarstwo.

– Chyba na mnie już pora – powiedział Urwis drżącym głosem. Skorzystał z chwili, kiedy gospodarz wszedł do stodoły i wybiegł przez uchylone drzwi. Kot usłyszał, jak gospodarz mówi, że jedzie do Dobrego Miasta.

„To coś dla mnie” – pomyślał Urwis.

Na miejscu kot usłyszał szum rzeki. Był tak mocno spragniony, że za bardzo zbliżył się do wody i wpadł. Kotek próbował się wydostać z wody i rozpaczliwie wołał o pomoc. Uratowała go śliczna postać.

– Kim jesteś? – zapytał Urwis.

– Nazywam się Łyna. Jestem córką Króla Tysiąca Jezior. Pewnego razu mój ojciec wpadł w sieci rybaka Jaśka. Poprosił chłopaka, żeby zwrócił mu wolność. Król obiecał mnie Jaškowi za żonę. Cieszyliśmy się z Jaškim naszym szczęściem, ale nie trwało ono długo. Mojego Jasieńka przygniotło drzewo. Chciałam go uratować i wykraść z krainy ojca życiodajny kwiat. Niestety, jeśli córka Króla Tysiąca Jezior opuści wodę, już nigdy nie może wrócić do domu ojca. Złamałam zakaz i ojciec zamienił mnie w rzekę, a Jasieńka w wierzbę.

– To bardzo wzruszająca historia – powiedział Urwis. – Opowiem ją mojemu panu, Mikołajowi Kopernikowi.

Łyna w czarodziejski sposób przeniosła Urwisa na zamek we Fromborku. Kotek otworzył oczy i zobaczył Kopernika siedzącego przy biurku. Kopernik przytulił Urwisa i powiedział:

– Dobrze, że wróciłeś, kotku.

„Mam ci dużo do powiedzenia – pomyślał Urwis – ale najpierw się zdrzemnę...”

O Warmio moja miła

Leżałem tak na baraniej skórze i już miałem się zdrzemnąć, lecz widząc, ile szczęścia Mikołajowi Kopernikowi sprawił mój powrót, uznałem, że drzemka może poczekać.

W komnacie było jasno, bo słońce radośnie wlewało się przez okno prosto na wielki stół, przy którym siedział, pracował i nucił swoje obliczenia, jakby odkrył nową gwiazdę. No, ale powód był zupełnie inny – mój powrót z warmińskich wojaży.

Kopernik spojrzał na mnie i powiedział:

– Gdybyś ty umiał mówić, co byś mi opowiedział? Gdzie byłeś przez te dni, jakie przygody przeżyłeś?

Wstałem z legowiska, przeciągnąłem się z godnością lwa, któremu wiadomo, że jest kochany, otarłem się o jego nogi, a potem wskoczyłem mu prosto na kolana. Roześmiał się głośno i czule pogłaskał mnie po szyi, tuż pod pyszczkiem. Nachyliłem się bardziej i zamruczałem znacząco:

– A skąd wiesz, że nie umiem? My koty, potrafimy przecież wszystko. A teraz, proszę, posłuchaj, bo działa się, działa.

Najpierw wybrałem się tam, gdzie słychać cichy szum wód Zalewu Wiślanego, do urokliwego i magicznego miasteczka Frombork. Na niewielkim wzgórzu wznosiła się potężna katedra z czerwonej cegły i olbrzymia wieża. Jej mury sięgały prawie do chmur i dlatego gwiazdy świeciły tu mocniej niż na całym świecie. Miało się wrażenie, że wraz z księżycem są na wyciągnięcie ręki.

Wtedy, jak co wieczór, towarzyszyłem tobie w wędrownie wzrokiem pośród gwiazd i poczułem unoszący się zapach świeżej, smażonej rybki.

Strasznie burczało mi w brzuszku, więc pomyślałem, że zajęty obserwacją gwiazd nie zauważysz mojego chwilowego zniknięcia. Szybko znalazłem się za murami katedry, podążając za aromatem, który unosił się w powietrzu.

Miałem szczęście, bo okno domu, w którym gospodyni szykowała kolację, było właśnie otwarte. Wskoczyłem na kuchenny stół i chwyciłem smaczny kąsek ryby. Gdy zauważyła to gospodyni, krzyżąc i wymachując ścierką, przepędziła mnie. Przestraszony biegłem przed siebie z prędkością światła. Zmęczony usiadłem na polanie, żeby choć przez chwilę odpocząć. Rozejrzałem się i nie wierzyłem swoim oczom. Zobaczyłem

rozciągające się zielone łąki, pachnące kwiatami, usłyszałem cichy szum lasu, w którym skakały zające i dumnie przeżyły się jelenie. Poczułem, jakby miejsce to i kraina były czarowane. Wszystko wyglądało niczym z bajki.

Zafascynowany widokami długo nie zastanawiałem się i postanowiłem ruszyć w dalszą podróż po krainie zwanej Warmią. Chciałem poznać ją bliżej, aby móc opowiedzieć ci, jakie cuda nas otaczają. Biegłem przez małe miasteczka i wioski, aż dotarłem do Braniewa, położonego nad rzeką Pasęką. Zrobiłem się znowu głodny, a że rzeka była pełna ryb, postanowiłem upolować pstrąga. Najedzony położyłem się na trawie i spoglądałem w niebo. Zapadła noc i miasto zmieniło się w krainę magii. Niebo nad Braniewem było tak czyste, że dostrzegłem tysiące gwiazd. Zastanawiałem się, czy ty, przyjacielu, zauważyłeś moje zniknięcie i czy też patrzysz w niebo, szukając nowych gwiazdozbiorów.

Rano obudziły mnie dziwne dźwięki. To bóbr, który budował nad rzeką tamę:

– Witaj wędrowcze – powiedział do mnie.

– Witaj – odpowiedziałem nieco niewyspany i zdenerwowany.

– Nie złość się na mnie. My bobry musimy wstawać bardzo wcześnie rano, gdy mamy dużo pracy. Daj łapę – zaproponował bóbr. – Pomogę ci przejść na drugą stronę. Jak pobiegiesz prosto przez pola, dojdiesz do miasteczka Ornet, nazywanego miastem smoków.

Bardzo chciałem zobaczyć miejsce, gdzie według legendy grasował smok, który znajduje się w herbie tego miasta. Nie zastanawiając się, pożegnałem nowego kolegę i ruszyłem dalej. Po drodze trafiłem w dziwne, ale piękne miejsca – stare kapliczki ukryte wśród drzew. Było ich naprawdę wiele. Małe, drewniane mostki, które unosiły się nad strumykami. Droga zaprowadziła mnie do niewielkiej wsi Barkweda. Zmęczony usiadłem pod olbrzymim dębem. W tym miejscu nocował wielki dowódca Napoleon Bonaparte. Właśnie tutaj stoczono bitwę pomiędzy wojskami francuskimi i prusko-rosyjskimi.



Rozmyślając, zauważyłem w oddali strzelistą wieżę olsztyńskiego zamku. Był to zamek kapituły warmińskiej, zbudowany z czerwonej cegły, która w promieniach słońca błyszczała niczym złoto. Wokół wiła się spokojna i czysta rzeka Łyna. Postanowiłem tam się udać, wierząc, że ciebie spotkam, bo często odwiedzałeś ten gród. Rzeczywiście też tak było, ale nie miałeś dla mnie czasu. Tym bardziej że wspólnie z innymi mieszkańcami Olsztyna broniłeś zamku przed najazdem Krzyżaków. Ja również byłem cichym bohaterem tej walki. Przechadzając się po murze tej fortyfikacji, wylałem beczkę gorącej mazi na wspinających się po murach Krzyżaków.

Widziałem również na ścianie krużganku tajemniczą tablicę, którą stworzyłeś. Była pełna znaków, linii i rysunków.

Wiesz... przyjacielu, dziś czuję się tak, jakbym podróżował wieki, a nie dwa tygodnie, wędrując cicho po niebie pomiędzy gwiazdami nad Warmią i mógłbym jeszcze długo opowiadać o tej krainie. Jestem bardzo zmęczony. Pozwól, że na chwilę zamknę oczy i odłożę dalszą historię na jutro. Ale możesz być pewny, że nie zostawię ciebie już nigdy na tak długo samego, mój drogi przyjacielu.

Pamiętaj, my, koty, wszystko potrafimy. Tylko czasem po prostu nam się nie chce...

Gdybyś umiał mówić...

Wstałem pewnego ranka wcześniej niż zwykle. Mój właściciel, Mikołaj Kopernik, jeszcze sobie smacznie spał. Życie kota nie jest łatwe, ponieważ kiedy twój pan jeszcze śpi, leżysz na swoim posłanku i się nudzisz. Dlatego ja, aby wypełnić pustkę, postanowiłem zrobić sobie wędrówkę po Warmii.

Ruszyłem z mojego legowiska i wyskoczyłem przez lekko uchylone okno. Koty mają bardzo proste życie. Jestem mały, milutki i przejdę przez każdą szparę.

Ponieważ ja i Kopernik razem mieszkamy w Olsztynie, ustaliłem, że odwiedzę zamek kapituły warmińskiej. To gotycka budowla z czternastego wieku, siedziba muzeum, związana z Mikołajem Kopernikiem. Czuję się sławnym kotem, bo nawet zamki są powiązane z moim przyjacielem. Znajduje się on przy ulicy Zamkowej, czyli prawie po drugiej stronie miasta! Szkoda mi moich małych łapek, więc uniosę się w górę i przelecę nad Olsztynem.

Znalazłem dogodne miejsce, aby start był prostszy. Policzyłem do trzech i ruszyłem z miejsca biegiem, wzbilem się w górę, a po chwili leciałem już razem z ptakami.

Ucieszyłem się, bo jeden z ptaków był moim starym znajomym. W chwili, kiedy nasze spojżenia się spotkały, ruszyliśmy w znajome strony.

– Cześć, Urwisku! – przywitała się wesoło czarna jak smoła wrona.

– Miło cię widzieć, Miłko – uśmiechnąłem się do ptaka.

Leciliśmy w stronę punktu, który sobie wyznaczyłem. Doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie razem odwiedzić atrakcję, więc Miłka poszła razem ze mną.

Widoki były piękne. Obserwowałem wiele światel oraz gwiazd. Ponieważ to był jeszcze świt, gwiazdy były mniej widoczne. Po jakimś czasie zauważyliśmy w oddali zamek. Był dość spory i bardzo piękny. Jego spiczaste dachy wyglądały znakomicie, a czerwona ceglówka dodawała mu uroku. Z pewnością mógłbym w takim zamieszkać.

Weszliśmy w głąb zamku, a tam poczuliśmy chłodny powiew wiatru i przebiegl nas lekki dreszczyk, lecz to nie zniechęciło nas do dalszego podziwiania budowli.

Miłka, tak samo jak ja, była zachwycona obiektem. Ze smutkiem skończyliśmy eksplorację atrakcji, bo niestety, Miłka musiała wracać do swojej rodziny, lecz ta sytuacja nie skłoniła mnie do przerwania dalszej wycieczki po Warmii.

Po przytulaniu z przyjaciółką wyruszyłem w dalszą podróż. Zamierzałem polecieć do planetarium i obserwatorium astronomicznego, gdzie odbywają się pokazy astronomiczne i prowadzone są obserwacje.

Powtórzyłem zabieg z wybiciem się do lotu. Niestety, jedyna rzecz, która się już nie zgadzała, to widoki. Nadal były piękne, lecz zaczynało się już robić jasno.

Leciałem przez jakiś czas nad miastem i szybko dotarłem do celu. Gdybym był dłużej zatopiony w swoich myślach, pewnie bym minął mój punkt.

Wylądowałem przy samym wejściu. Od razu w oko wpadła mi kocica. Była piękna. Różowe futerko, niebieskie oczy, spiczaste uszy i ta piękna czerwona kokardka na szyi... Niestety, straciłem ją z oczu, ponieważ weszła już do budynku. Natychmiast pobiegłem za nią, ale kiedy przeszedłem przez drzwi, jej już nie było. Pomyślałem, że ta kotka nie może zawładnąć moim umysłem. To niemięskie.

Jak na zawołanie uśmiech wrócił na moją twarz. To wszystko przez widok, który miałem przed sobą. Pokój był jak kino, a naprzeciwko był wielki wyświetlacz. Znajdowały się na nim informacje o planetach oraz całym kosmosie. Dowiedziałem się, że wszechświat rozpoczął się w jednym punkcie wielkości łebka od szpilki, który w wyniku olbrzymiej eksplozji zaczął się rozszerzać i rozszerza się do dziś. Jednym z dowodów potwierdzających słuszność teorii wielkiego wybuchu oraz rozszerzania się wszechświata jest fakt, że im odleglejsza od Ziemi jest obserwowana galaktyka, tym szybciej się od niej oddala.

To jest naprawdę ciekawe! On to wszystko zapewne wie, a ja wiem jeszcze, że bardzo wczesny wszechświat trwał jedynie pikosekundę. W tym czasie nie wykształciły się jeszcze prawa fizyki, które znamy obecnie. Chyba nie doceniałem swojego pana.

Następnym celem było Wzgórze Katedralne we Fromborku. Ponieważ to dłuższa droga, postanowiłem się teleportować. Przygotowałem się, a następnie zamknąłem oczy. Policzyłem do dziesięciu, poczułem dreszczyk, po którym moje oczy się otworzyły, a ja stałem przy wielkim murze.

Rozejrzałem się dookoła. Miałem przed sobą budynek podobny do zamku. Został zbudowany z czerwonych cegiełek, miał ciekawy dach oraz okna. Gdzie okiem sięgnąć, widziałem park pełen drzew.

Wnętrze budynku zrobiło na mnie duże wrażenie. Stały tam bogato zdobione stalle kanonickie, podtrzymywały je masywne, ośmioboczne filary z czerwonej cegły. Pierwotnie ściany były surowe, bez tynków, co tworzyło klimat monumentalności oraz solidności.

Zwiedzanie mijalo mi w dobrej atmosferze, niestety znowu musiałem się pożegnać z tak precudowną budowlą.

Kiedy wyszedłem z budynku, zorientowałem się, że jest już późno. Niebo było koloru ciemnego granatu, a na jego tle było można zauważyć małe gwiazdki, pojawiające się na niebie. Zbliżała się pora odpoczynku.

Ruszyłem z miejsca i już miałem startować do lotu, kiedy poczułem burczenie w brzuchu. To był znak, żeby zjeść kolację. Powędrowałem więc między budynkami na fromborskim osiedlu. W jednym z nich świeciło się światło, więc prześlizgnąłem się przez małą szczelinę i już byłem w środku. Na moje wielkie szczęście znalazłem się w kuchni.

Wskoczyłem na stół, a z niego zrobiłem wielki skok w stronę lodówki. Otworzyłem ją. Na środkowej półce znajdował się kawałek ryby. Moje nozdrza od razu powitał zapach rybki, a ja oblizałem pyszczyk. Chwyciłem kawałek ząbkami i skoczyłem na podłogę. Zjadłem ją w rogu kuchni.

Wskoczyłem ponownie przez okno i wystartowałem w górę. Nie miałem ochoty spać, więc postanowiłem kontynuować wędrówkę. Pomyślałem, że ciekawym pomysłem byłoby przeżycie festiwalu, więc teleportowałem się do Olecka, gdzie odbywał się pewien festiwal. Nazywa się Przystanek Olecko, podobno pierwszy z cyklu takich większych koncertów odbył się w 1998 roku, więc cofnę się aż o dwadzieścia osiem lat!

Zamknąłem oczy, tak jak podczas pierwszego kursu, odliczyłem do dziesięciu, po czym ponownie otworzyłem oczy. Znajdowałem się na wielkim placu wypełnionym ludźmi. Ruszyłem z miejsca. Przedemną znajdowała się wielka scena, a na niej zespół Lady Pank. Kolorowe światła oświetlały okolicę, a szum rozmów wypełniał moje kocie uszy. Otworzyłem szerzej oczy, kiedy zespół zaczął grać swoją pierwszą piosenkę. Wysłuchałem się w pierwsze dźwięki i od razu wiedziałem, że ten typ muzyki przypadnie mi do gustu.

Usiadłem na ławce, która stała w oddali przy budkach. Rozsiadłem się wygodnie, a po chwili podeszła do mnie starsza pani z chustką na głowie i zapytała:

– Przepraszam, czy to miejsce jest wolne?

– Jak najbardziej, proszę pani – odparłem kulturalnie.

Starsza kobieta posłała mi uśmiech i usiadła na miejscu obok. W milczeniu słuchaliśmy kolejnego utworu. Po chwili kobieta odezwała się:

– Jesteś z Olecka, rudy kotku? – zagadnęła, celując we mnie wzrokiem.

– Nie, nie. Mieszkam w Olsztynie z moim właścicielem – odpowiedziałem dumnie.

– I jak ci się tu podoba? – zadała kolejne pytanie.

Rozejrzałem się dookoła. Ładny, duży plac. Sporo drzew. Klimatyczne budynki, kino obok, a i szkoła muzyczna! Kocham instrumenty. Szczególnie dęte.

– Jest naprawdę przyzwoicie – skwitowałem z podziwem. – Macie tu dużo ciekawych rzeczy, takich jak szkoła muzyczna czy teatr. Ciekawe są tam spektakle?

– Ach tak... Spektakle są wspaniałe. Byłam ostatnio na jednym, są bardzo pouczające – zachwycała się Olecczanka.

– Mogłaby mi pani opowiedzieć trochę o nich? – zagadnąłem. – Chętnie posłucham.

– Z przyjemnością – rozweseliła się kobieta. – Ostatnio dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy. Obejrzałam spektakl właśnie o Olecku! Mówili tam, jak to miasto powstało. Zostało ono założone w 1560 roku przez księcia Albrechta Hohenzollerna. Pierwsza nazwa tego miasteczka to Margrabowa. Niestety, podczas wojen światowych Olecko zostało mocno zniszczone. W niektórych miejscach nawet musieli odbudowywać je od zera! Jakie straszne rzeczy dzieją się na tym świecie... – ciągnęła z zadumą.

– Jestem tego samego zdania. Takie sytuacje nie powinny się wydarzyć, mam nadzieję, że to się nie powtórzy – oznajmiłem z bólem.

– Dokładnie, jaki mądry z ciebie kotek... – odparła z uznaniem.

– Tak samo jak właściciel. Przepraszam bardzo, ale muszę już zmykać – poinformowałem smutno. – Chciałbym, abyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

– Miło było cię poznać, koteczku. Powodzenia – pożegnała się kobieta.

Zeskoczyłem z siedziska i pobiegłem w odległe miejsce. Musiałem się nabiegać, aby odpocząć od muzyki grającej na placu. Powtórzyłem rytuał z wcześniejszego teleportowania. Ponownie znalazłem się w roku 2026.

Szedłem przez Mikołajkowe obrzeża miasta. Nie chciałem jeszcze kończyć swojej przygody, więc wskoczyłem na jedną z żaglówek, która była gotowa do odpłynięcia. Łódź oddaliła się od brzegu, a ja wyszedłem zza beczi, która stała przy barierce łódki. Żeglarz po chwili mnie zauważył i się odezwał:

- O! Kotku, co ty tu robisz?
- Chciałem zobaczyć wodę z perspektywy łodzi – oznajmiłem.
- Muszę ci powiedzieć, że świetne jezioro wybrałeś do tego – uśmiechnął się mężczyzna w średnim wieku.
- Tak? Mógłby pan mi coś opowiedzieć o tym jeziorze? – zagadnąłem ciekawsko.
- Ależ oczywiście. Płyniemy po jeziorze Śniardwy. Jest to największa toń w Polsce! Śniardwy to jedno z najważniejszych miejsc dla żeglarzy w Polsce, ponieważ mieszkają tu szczupaki, okonie i sandacze. Ma bardzo dużą powierzchnię, lecz tylko dwadzieścia trzy



metry głębokości. Dla takiej wody to niewielka głębokość. Są tu też małe wysepki, takie jak: Pajęcza, Czarci Ostrów oraz Szeroki Ostrów. Gdybym miał ocenić krótko to jezioro, powiedziałbym tak: raj dla wędkarzy – skończył opowiadać.

– To naprawdę fascynujące! – ekscytowałem się.

Facet przyjaźnie się uśmiechnął, a ja rozłożyłem się wygodnie na podłodze. Wsluchałem się w szum wody, a promyki słońca rozświetlały moją głowę. Po jakimś czasie, nie wiem dokładnie, w którym momencie, pochłonął mnie świat Morfeusza.

– Halo, kotku! – poczułem rękę na moim grzbiecie. Zbudziłem się i usiadłem. Spojrzałem na żeglarza, a on dodał: – Jesteśmy na miejscu.

Zdziwiony rozejrzałem się, rzeczywiście, łódka stała w bezruchu, a my byliśmy w porcie.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałem.

– W Nowych Gutach – oznajmił mój przewoźnik.

– Daleko mamy do Olsztyna? – zagadnąłem ponownie.

– Kawalek drogi jest – skwitował żeglarz.

Pokiwałem głową w odpowiedzi. Spojrzałem na zegarek, który wisiał na ścianie. Była już późna godzina. Spojrzałem ponownie, lecz tym razem na kalendarz koło zegara. Zdziwiłem się, bo moja wyprawa trwała trzeci dzień, a data wskazywała, że dwa tygodnie... Muszę spytać pewnej osoby, jaki jest powód tej zmiany.

Pożegnałem się z mężczyzną, po czym wyruszyłem w dalszą wędrówkę. Biegłem przez las, aż w końcu się zatrzymałem. Odprawiłem pewien rytuał i otworzył się portal. Wszedłem przez niego, a moim oczom ukazała się winogronowa kraina królików. Szedłem dalej między fioletowymi drzewami. Niebo było różowe, a trawa, po której stąpałem, była w odcieniu purpury.

W końcu dotarłem do wielkich, kręconych schodów. Zacząłem wspinać się na górę. Po wejściu na sam szczyt stanąłem przed drzwiami. Minąłem je, a za nimi siedział stary, lekko posiwiwały królik.

– Urwisek! – krzyknął wesoło, wstał i wyciągnął łapki w moją stronę.

– Witaj, Drag – odparłem z szerokim uśmiechem i przytuliłem się do niego.

– Co cię do mnie sprowadza? – chrząknął, po czym usiadł na sofie.

– Słuchaj, Drag. Odbyłem wycieczkę, która trwała trzy dni, lecz dzisiaj spojrzełem na kalendarz i pokazało mi, że trwała dwa tygodnie. Nie wiem, jak to sobie wytłumaczyć, dlatego przychodzę do ciebie z pytaniem.

Królik zamyślił się, chwilę siedział cicho.

– Czy zatrzymywałeś czas? – zagadnął.

Pokiwałem głową, na co Drag mruknął w zamyśleniu:

– Podróżowałeś w czasie?

– Tak, cofnąłem się o trzy dekady – odpowiedziałem.

– Mam już wytłumaczenie twojego problemu. Kiedy teleportowałeś się do innej epoki, czas musiał się cofnąć, a ty nieświadomie zatrzymałeś się w jego nurcie, co sprawiło, że utknąłeś tam na kilka dni – skwitował staruszek.

– Dobrze, dziękuję ci za wytłumaczenie. Muszę już wracać do domu. Kopernik się pewnie o mnie martwi – poinformowałem, a królik pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Czy mógłbyś mnie do niego przenieść? – dodałem.

– Jasne, połów się – wskazał na sofę, na której siedział.

Zrobiłem to, co kazał, i po chwili leżałem już nieruchomo. Drag zawisł mi nad głową i podał płyn do wypicia. Tak jak kazał, opróżniłem go do ostatniej kropelki. Krótko po tym zakręciło mi się w głowie, a przed oczyma miałem ciemność.

Obudziłem się, wstałem z brukowego chodnika i zorientowałem się, że znajduję się przy moim domu. Światło w środku się paliło, więc kliknąłem w dzwonek, który wydał charakterystyczny odgłos. Po chwili drzwi się otworzyły, a przez nie wyjrzał Kopernik.

– Urwis! Gdzieś ty był! Kochany... – krzyknął ze szczęścia Mikołaj.

Ja jedynie wskoczyłem w jego objęcia, pomruczałem cicho, a Kopernik westchnął:

– Gdybyś umiał mówić, co byś mi opowiedział? Gdzie wędrowałeś sobie pod moją nieobecność? Gdybyś umiał mówić...

„A skąd wiesz, że nie umiem? Taki jesteś uczony, tyle ksiąg przeczytałeś, a najprostszycy rzeczy nie wiesz... Koty potrafią więcej, niż sobie wyobrażasz” – pomyślałem.

Po tym mój właściciel odłożył mnie na posłanie, a mnie na dobre kilka godzin pochłonięła kraina Morfeusza...

Wielkie przygody kota Kopernika

Urwis to najwierniejszy towarzysz Mikołaja Kopernika. Jest sprytnym, ciekawskim i nieco krnąbrnym kotem. Nigdy nie opuszczał swojego właściciela, ale zdarzył się wyjątek, ponieważ uciekł z fromborskiego wzgórza. Uciekał przez Warmię, ale nie była to zwykła podróż... Przed nim wielkie odkrycia, wiele przygód i nie tylko!

Kiedy przemierzał Warmię, natknął się na portal do innego wymiaru. Zgodnie z wywieszoną tam wskazówką, jak go otworzyć, musiał zjeść dwieście pięćdziesiąt ryb. Kot się ucieszył, bo był bardzo głodny. Pobiegł po stół, krzesło, widelec, nóż i fartuch, żeby





się nie ubrudzić. Wziął się za pierwsze dziesięć ryb, potem dwadzieścia pięć i dotarł do stu w dwie minuty! Trochę odpoczął i wziął się za kolejne sto pięćdziesiąt. Kot pobił rekord świata w jedzeniu ryb. Czas Urwisa to cztery minuty! Swoją wytrwałością otworzył portal. Obok portalu był eliksir chudnięcia. Urwis znalazł go i wypił. Po chwili kot był taki, jak zwykle, czyli chudy. Poszedł do portalu i pierwsze, co go tam spotkało, to bitwa dobra ze złem z innego mojego opowiadania *Podróżnik Pietrek 2*.

Bubik, Pietrek i Szarasek walczyli przeciwko Zmutowanemu 8-bitowcowi. Urwis był zaintrygowany walką i zdał sobie sprawę, że jest w dwudziestym drugim wieku. Zmutowany 8-bitowiec uciekł i walka się skończyła. Pietrek zauważył Urwisa i powiedział:

– Kim ty jesteś?

Kot odpowiedział:

– Jestem Urwis, a ty to kto?

– Ja jestem Pietrek, to jest Bubik, a tamten to Szaras.

– JAKIM CUDEM MACIE SUPERMOCE????!!!!?

– Walnął w nas piorun i dostaliśmy supermoce.

– A to co? AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!!!!!! To jest pajak!!!!

– Spokojnie nic ci nie robi. Idziemy dalej! – powiedział Pietrek.

– Mogę iść z wami? – powiedział Urwis.

– Możesz iść, ale najpierw przywołam Burzę.
 Burza przybyła.
 – Tak Pietrek – powiedziała Burza.
 – Przywołaj burzę! – powiedział Pietrek.
 Po chwili niebo stało się czarne. Czszzzz! Piorun trafił Urwisa i dostał supermoce. Potrafił znikać (być niewidzialnym), teleportować się, wysoko skakać i atakować rekinami i kulami ognia.
 Pietrek powiedział:
 – Teraz możemy iść.
 Burza, która trafiła Urwisa, zaczynała zanikać.
 – Pa, Burza! – powiedział Pietrek.
 – Pa! – Mysz znikła w ogromnych chmurach.
 – Nasz cel to Zmutowany 8-bitowiec – powiedział Pietrek. – Mieszka on w Piekło Zmutowanego 8-bitowca. Ten teren jest bardzo duży, dlatego będziemy latać.
 – Ja nie umiem latać! – powiedział Urwis.
 – Dam ci nieograniczonego jetpaca. Nie kończy mu się paliwo! – powiedział Pietrek.
 – Nie wiem co to jest!
 – Sprawia, że latasz! – powiedział Bubik.
 Wyruszyli w lot. Szukali Zmutowanego 8-bitowca, ale go nie było. Aż znaleźli Piekło Zmutowanego 8-bitowca.
 – JESTEM ROBOTEM. JESTEM ZASKOCZONY! LUDZIE SĄ DO KITU!!!! Do ataku!! – powiedział Pietrek.
 – AAA! AAA! ROBOT SIĘ PALIĆ!!! URWIS ZŁY KOT! – powiedział Zmutowany 8-bitowiec.
 Po pięciu godzinach zadali mu jedynie połowę życia. Minęło dziesięć godzin i zadali mu jedynie połowę z tego, co zostało.
 – ROBOT SIĘ WKURZYĆ!!! – powiedział Zmutowany 8-bitowiec.

6 godzin
 później...

– Dzwastdysufośustówsdadls... – powiedział Zmutowany 8-bitowiec.
 – WYGRANA!! – powiedział Pietrek.
 – Gdzie jest portal do Polski? – zapytał Urwis.
 – Najpierw w prawo, potem w lewo, prosto i tam przy pizzerii będzie portal – powiedział Pietrek.

Urwis pobiegł w prawo, potem w lewo, prosto i znalazł się przy pizzerii. Urwis ukradł dwadzieścia cztery pizze z anshua. Po dwóch minutach zjadł wszystkie. Mamy chyba nowego Garfielda z dwudziestego drugiego wieku! Kot poczekał, aż schudnie i wszedł do portalu, ale nie był na Warmii... był na planecie X, kwintyliard kwintylionów kilometrów świetlnych od Ziemi. Urwis nudził się i pomyślał, jak wrócić na Ziemię. Nikt jeszcze nie uciekł z tej planety, bo Urwis był na niej pierwszy, a naukowcy nie wiedzieli o jej istnieniu. W końcu kot wymyślił, jak się wydostać z planety x. Przypomniał sobie, że dostał jetpac z niekończącym się paliwem od Pietrka. Wyruszył i był coraz bliżej Ziemi.

4 lata
później...

Urwis był już miliardy miliardów kilometrów świetlnych (100 000 000) od Ziemi. Kot był już wyczerpany, gdy w końcu ujrzał Ziemię.

10 Msc.
później...

Urwisowi zostało tysiąc kilometrów świetlnych do Ziemi. Kot wypatrywał Fromborka i znalazł Polskę.

– AAAAAAAAAA!!!! – był wyczerpany kot, ponieważ palił się jak meteoryt.

CHWILĘ
później...

Urwis wylądował we Fromborku i nagle zauważył swój dom i swojego właściciela. Kot pobiegł do domu i usłyszał:

– Urwis! Gdzie ty byłeś?

Ach, gdybym mógł mówić, powiedziałbym mu, jak znalazłem portal do innego wymiaru, jak walczyłem z Bubikiem, Pietrkiem i Szarasem ze Zmutowanym 8-bitowcem, jak nagle wałnął mnie piorun i dostałem mocy, jak pokonaliśmy Zmutowanego 8-bitowca i jak wróciłem z planety x na Ziemię! Ale niestety, koty nie umieją mówić!

KONIEC



Urwis odkrywca

Urwis nie był zwykłym dachowcem. Był kotem astronomicznym. Oznaczało to, że sypiał na gwiazdnych mapach, a jego futro zawsze pachniało starym pergaminem i woskiem palonych świec. Mikołaj Kopernik darzył go ogromną sympatią, choć Urwis regularnie zrzucał mu z biurka mosiężne cyrkle, uważając je za wyjątkowo hałaśliwe i zbędne zabawki. Przesiadywał na biurku Kopernika, pilnując, by jego pióro nie wyschło, podczas gdy inne mruczki polowały na myszy w piwnicach zamku. Urwis był również uparty, całkiem jak teoria, że Ziemia stoi w miejscu. Najbardziej jednak lubił momenty, gdy Mikołaj otwierał okno i kierował swój wzrok w niebo, a on mógł po prostu wtulić się w starą skórę swojego legowiska na piecu i...

Pewnej mroźnej, marcowej nocy wydarzyło się coś niezwykłego. Niebo było tak czyste, że gwiazdy zdawały się być na wyciągnięcie łapki. Mikołaj, pochylony nad obliczeniami, mruknął pod nosem:

– Coś tu się nie zgadza... Dlaczego planety tańczą tak, jakby to Ziemia była najważniejsza, skoro czuję, że prawda jest zupełnie inna?

Urwis, słysząc to, przeciągnął się leniwie. W tym momencie przez otwarte okno wpadł blask spadającej gwiazdy. Kocur instynktownie skoczył na parapet, przewracając kałamarz z najdroższym czarnym atramentem, a potem – ku przerażeniu astronoma – na dach zamku.

– Urwis, wracaj! – zawołał Mikołaj, ale kot był już daleko.

Zaczęła się wielka ucieczka. Urwis pędził po stromych dachach Lubawy. Przeskakiwał kominy, a jego oczy wylapywały światło każdej mijanej gwiazdy. Mikołaj narzucił swój ciężki płaszcz i ruszył w pościg. Choć był wielkim uczonym, tej nocy musiał stać się tropicielem-detektywem. Urwis nie uciekał jednak bez celu. Każdy jego skok wskazywał Mikołajowi konkretny punkt na niebie. Gdy kot zatrzymał się na najwyższym punkcie wieży, spojrział dziwnie na Jowisza, a potem na Marsa i zeskoczył na dziedziniec, gdzie w kałuży wody odbijało się Słońce, które właśnie zaczęło wschodzić. Mikołaj chwycił swojego przyjaciela i przytulił go mocno. Kocur zamruczał głośno, a potem pacnął łapką w odbicie na wodzie. Kopernik zamarł.



Spojrzał na Słońce, a potem na wirujące wokół niego cienie. W jego głowie nagle wszystko stało się oczywiste.

– To nie my jesteśmy środkiem – szepnął, głaszcząc Urwisa za uchem. – To ono, Słońce, stoi w centrum, a my wszyscy, jak ty po dachu, krążymy wokół niego.

Urwis wyprężył grzbiet zwycięsko i razem z Mikołajem wrócili do komnaty wczesnym rankiem. Mikołaj wziął czysty pergamin i napisał pierwsze słowa swojego wiel-

kiego dzieła: *De revolutionibus orbium coelestium* (O obrotach sfer niebieskich), a kot leżał na jego kolanach, mruczając w rytm obracających się planet. Kilka chwil później Urwis znów dał o sobie znać. Kiedy Kopernik ustawiał swoje triquetrum (przyrząd do mierzenia wysokości ciał niebieskich), kot uznał, że zwisające sznurki z obciążnikami to najlepsze zabawki na świecie. Zaczął wieszać się na nich, huśtać i podgryzać węzły, które nie wytrzymały ciężaru Urwisa i pękły. Zrobił się wielki hałas, bo okazało się, że wielkie przygody Urwisa to tylko piękny sen, który właśnie się skończył na twardej podłodze. W efekcie rano astronom odkrył, że jego przyrząd wskazuje piwnicę zamiast zenitu. Przez chwilę Kopernik nawet myślał, że odkrył nową podziemną konstelację, zanim zorientował się, że to kocia sprawka.

– Ty mały pierniku – śmiał się astronom, zdejmując kota z konstrukcji. – Ziemia się kręci, ale ty kręcisz się wokół niej zdecydowanie za szybko.

Mawiano wówczas, że gdyby nie przygody kota Urwisa i wieczne przeszkadzanie w pracy astronoma, Kopernik mógłby nigdy nie nabrać odwagi, by ogłosić światu, że to nie my jesteśmy w centrum wszechświata. Urwis do końca swoich dni pilnował wieży w Lubawie, dbając o to, by jego pan nie spędzał zbyt dużo czasu w chmurach i zawsze pamiętał o napełnieniu jego miski.

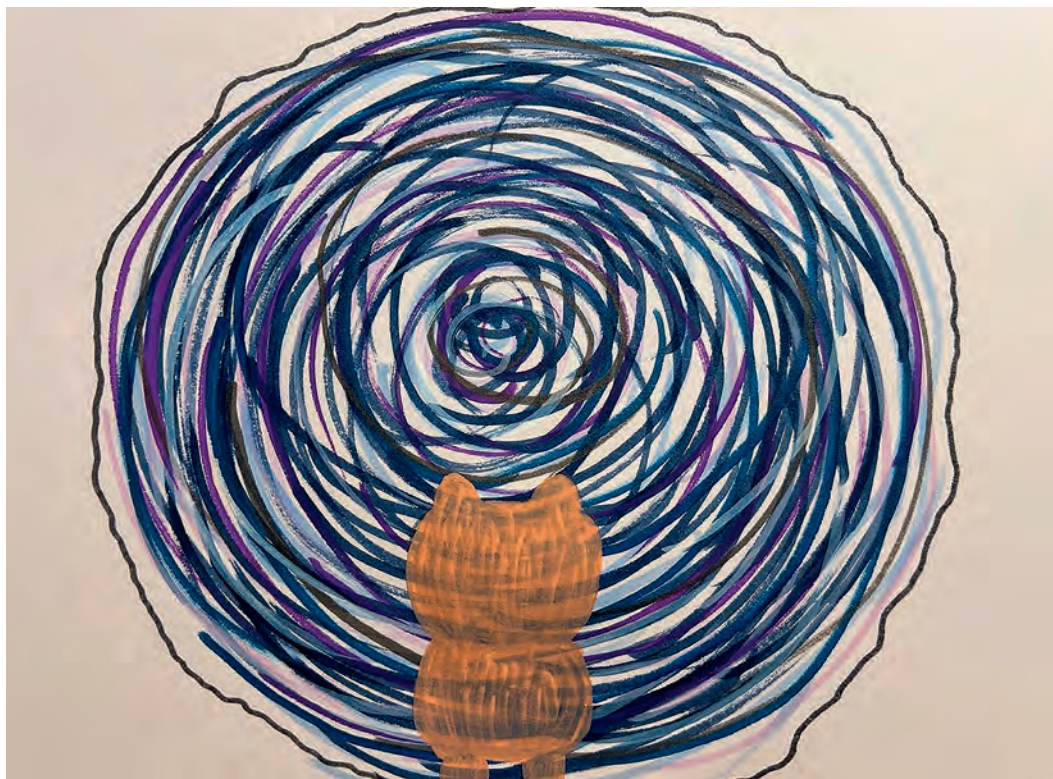
Dziś, patrząc na pomniki astronoma, warto wyobrazić sobie, że gdzieś u jego stóp, w cieniu wielkiej historii, zawsze czaił się pewien psotny kot, który wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że świat kręci się wokół tego, kto ma najwięcej energii do psot.

Od tego czasu, ludzie przekonali się, że wielkie odkrycia wymagają nie tylko mądrej głowy, ale czasami też kogoś, kto pokaże nam świat z zupełnie innej perspektywy.

Podróż w przyszłość

Siódmego lutego 1518 roku Urwis – wierny kot Mikołaja Kopernika – znudzony i zmęczony długim spacerem, ruszył do pracowni swego dwunożnego przyjaciela, gdzie nie można mu było wchodzić. Lecz dla takiego ciekawskiego kocura nie ma zamkniętych drzwi. Szedł powolnym krokiem do środka. Rozejrzył się i nagle jego oczom ukazał się wielki wir. Bez zastanowienia wskoczył w niego i zniknął jak sen złoty.

Po chwili znalazł się po drugiej stronie, na starówce w Olsztynie. Zobaczył Wysoką Bramę, dużo kolorowych aut i sklepów. Biedaczek nie wiedział, co się dzieje, więc siedł przed siebie, aż nagle ujrzał dwie dziewczynki i poprosił je o pomoc. Dzięki nim dowiedział się, którędy dojechać do zamku kapituły warmińskiej. Wtedy nasza go świetna myśl, żeby kupić prezent dla Kopernika, który miał mieć urodziny za tydzień. Ruszył w stronę



wyznaczonego celu. Widząc tłum ludzi, zatrzymał się i podszedł bliżej. Ujrzał wielki posąg. Przypominał mu Kopernika, więc zaczął do niego mówić, aż ludzie dookoła zaczęli na niego dziwnie patrzeć.

– Hej! Co ty tu robisz? – powiedział zaskoczony Urwis. – Wiem, że miałem nie wychodzić z domu.

Nie otrzymał odpowiedzi. Niespodziewanie podeszło do niego dziecko i zapytało, czy może zrobić sobie zdjęcie z tym posągiem. Kot nie wiedział, co odpowiedzieć, bo właśnie zdał sobie sprawę, że to nie jego przyjaciel, tylko kamienna rzeźba. Stwierdził, że to będzie idealny prezent na urodziny. Wziął ciężki kamień na plecy i ruszył dalej.

I tak szedł przez Olsztyn, a po długiej podróży dotarł do Galerii Warmińskiej i wkroczył do środka. Było tam dużo nowoczesnych sklepów, więc nie wiedział, co to za miejsce. Poczł zapach przepysznej ryby i doszedł do japońskiej restauracji. Bardzo mocno zaburczało mu w brzuchu, więc wiedział, że musi coś zjeść. Miał już nawet sprytny plan. Podeszedł do jednego z pracowników i poprosił o kawałek łososia. Mężczyzna powiedział, że musi najpierw zapłacić. Kot przypomniał sobie, że przyciągnął go wir. Gdy o nim pomyślał, przed nim ukazała się wielka dziura. Włożył w nią rękę i wyciągnął żywą, dużą krowę. Sprzedawca myślał, że zwariował. Urwis chciał mu podarować ją w zamian za rybkę, ten jednak odmówił.

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek, a nie średniowiecze, żeby płacić czymś takim – oburzył się pracownik restauracji.

– Jak to!?! – powiedział niesamowicie zaskoczony kot. – A teraz mi dasz?

W tym momencie kot zrobił wielkie, urocze oczy, aby go przekonać. Muszę przyznać wam, że był to bardzo trafny plan, ponieważ chłopak uległ i dał kotu rybę, a w gratisie dodał jeszcze swoje skarpetki z Kopernikiem. Kocur się ucieszył, bo miał kolejny prezent dla swojego właściciela. Urwis po udanym wyjściu do galerii wybrał się dalej na poszukiwanie niespodzianki dla Mikołaja. Pojechał pierwszym autobusem, który zobaczył. Zasnął w nim, a kiedy się obudził, zobaczył, że jest już w zupełnie innym miejscu.

Wysiadł na ostatnim przystanku. Zobaczył tablicę z napisem „Plaża Miejska” i ruszył w tę stronę. Niespodziewanie zobaczył przed sobą wielkie, zamrożone jezioro. Od razu wiedział, co zrobić. Odstawił wszystkie prezenty dla Kopernika, wziął rozpęd i pobiegł jak najszybciej w stronę zbiornika wodnego aż... wskoczył w jedną z dziur zrobionych w lodzie. Od razu wyskoczył z wody i stanął cały zamrożony. Zobaczyła go grupka przyjaciół, którzy mu pomogli, dali mu ręczniki papierowe z pobliskiej restauracji oraz kupili tam kakao w miseczce. Kot podziękował, a potem zobaczył, jak idą do wypożyczalni łyżew. Ponieważ kot jest bardzo ciekawski, wszedł za nimi i zapytał kasjerki, czy mógłby dostać jedną parę. Odpowiedziała mu, że dzisiaj może dostać za darmo, ponieważ pojutrze świętują urodziny Mikołaja Kopernika. Zwierzę nawet nie zauważyło, jak szybko minął ten czas i że niedługo musi wracać. Policzył prezenty, uciął sobie krótką drzemkę, a kiedy się obudził, zobaczył, że jest w śmieciarce. Przypomniał sobie, że gdy szedł spać, był w śmietniku, gdzie było mu wygodnie. Wszedł na dach pojazdu i zobaczył ogromne planetarium. Zeskoczył i spadł w ręce dwóch dziewczynek, które spotkał wcześniej. Powiedział im, że nie ma czasu i że musi lecieć do planetarium. Wszedł do budynku. Przy wejściu zobaczył grupkę ludzi, ominął ich i poszedł dalej. Jego wzrok przykuły piękne kamienie, rozdawane za darmo z okazji urodzin wybitnego astronoma. Oczywiście wziął jeden na pamiątkę. Miał już wychodzić, gdy ujrzał spektakl kopernikański, który oglądał właśnie ten tłum ludzi. Zagapił



się przez chwilę, ale przypomniał sobie, że bardzo mu się spieszy. Biegł przed siebie, aż dotarł do pięknego lasu. Musicie wyobrazić sobie, jak cudownie wyglądały drzewa przykryte puszystym śniegiem. Bardzo się zmęczył i zasnął na środku drogi. Po długich godzinach ocknął się. Usłyszał jakiś dźwięk, ruszył w jego stronę i potknął się o coś. Wstał, otrzepał się ze śniegu i nagle...

– Coś takiego! Co wy tu robicie same? Muszę was stąd zabrać, no i będziecie najlepszym prezentem w całym wszechświecie. – Urwis się ucieszył, zostawił wszystkie prezenty, które znalazł, i wziął tylko to, co przed chwilą napotkał.

Szczęśliwy wyszedł z lasu i szedł w stronę domu, w którym mieszkał razem z Mikołajem. Gdy dotarł na miejsce, zobaczył, że nie ma tam jego właściciela, a dom wygląda zupełnie inaczej; jakby już tam nie mieszkali. Wtedy przypomniał sobie, że przecież jest w przyszłości i musi wrócić do swoich czasów. Otworzył przejście, znalazł się w swoim domku na wzgórzu we Fromborku i ujrzał Kopernika. Były to już urodziny jego przyjaciela i trochę się za nim stęsknił, więc od razu do niego podbiegł i go przytulił. Po dłuższej chwili astronom przemówił:

– Martwiłem się o ciebie, nie było cię prawie dwa tygodnie. Wiedziałem, że sobie poradzisz, ale gdzie się przez ten cały czas podziewałeś?

– Długa historia... Może ci kiedyś opowiem. Ale mam dla ciebie prezent! – odpowiedział kocur i wyjął karton z prezentem.

– Ale piękne i urocze te małe kotki! Bardzo dziękuję. A teraz chodźmy spać – powiedział zmęczony Kopernik i wszyscy poszli spać po dniu pełnym wrażeń.

Morał jest z tego taki, że ci, których kochamy, zawsze będą o nas dbali, nawet czworonożni przyjaciele.

Opowiadanie o Urwisie

Byłem jego cieniem. Towarzyszyłem mu przy pracy, spałem zwinięty na pergaminach i obserwowałem, jak nocami wpatruje się w niebo. On zapisywał gwiazdy – ja je rozumiałem. Byłem sprytny, ciekawski i, jak niektórzy twierdzili, trochę krnąbrny. Ale prawda jest taka, że po prostu wiedziałem, że świat jest większy, niż się wydaje.

Pewnej nocy poczułem coś dziwnego. Gwiazdy nie były już tylko światłem – zaczęły mnie wołać. Jedna z nich pulsowała mocniej niż inne, jakby dawała mi znak. Nie zastanawiałem się długo. Wyskoczyłem przez okno i pobiegłem przed siebie, zostawiając za sobą ciepłe światło świecy i mojego pana. Najpierw była zwykła wędrownka. Pola, drogi, zapach ziemi i nocnego powietrza. Ale kiedy dotarłem na Warmię, wszystko się zmieniło. Czas przestał być prosty.

Pamiętam pierwsze jezioro – gładkie jak lustro. Wskoczyłem na pomost i spojrzałem w wodę. Zobaczyłem nie tylko siebie, ale też coś więcej. Obraz się poruszył, jakby ktoś przewracał kartki w księdze. Nagle nie byłem już tam, gdzie przed chwilą.





Znalazłem się w kuchni. Pachniało rybą. Na stole leżał świeżo upieczony kawałek. Nie mogłem się powstrzymać. Wskoczyłem, porwałem zdobycz i już miałem uciekać, gdy usłyszałem krzyk. Ale zanim ktoś mnie złapał... świat znów się zmienił.

Byłem nad jeziorem, między żaglówkami. Wiatr szarpał wodę, a ludzie śmiali się i wołali do siebie. Przemykałem między nimi, niewidoczny, jak cień. Potem znów skok... i cisza.

Tym razem znalazłem się w mieście, przy jednym z domów w Olsztynie. Wślizgnąłem się przez uchylone okno do sypialni. Było ciepło i spokojnie. Zwinąłem się na łóżku, ale zanim zdążyłem zasnąć, znów poczułem to znajome przyciąganie. Warmia była jak żywa mapa czasu i przestrzeni, a ja nauczyłem się po niej poruszać.

Nie zawsze było łatwo. Czasem trafiałem w miejsca, których nie rozumiałem – stare lasy pełne cieni, gdzie słychać było echo dawnych rozmów. Innym razem widziałem ludzi, którzy wyglądali inaczej niż ci, których znałem. Wiedziałem, że patrzę na przeszłość.

Pewnego razu wydarzyło się jednak coś, czego nie zapomnę nigdy. Trafiłem do wielkiej sali pełnej światła. Na środku stał ogromny stół, a wokół niego siedzieli ludzie. Mieli przed sobą mapy nieba – podobne do tych, które widywałem u mojego pana. Mówili o gwiazdach, o ruchu planet, o czymś, co wydawało mi się dziwnie znajome.

Wszedłem cicho między nich. Nikt mnie nie zauważył. Wskoczyłem na stół i spojrzałem na jedną z map. I wtedy zamarłem. To było to samo, co widział mój pan. Te same linie, te same znaki. Jakby jego myśli były już gdzieś dalej, jakby ktoś kiedyś miał je powtórzyć albo odkryć na nowo.

Przeszedłem po pergaminie i nagle poczułem dziwne uklucie – jakby czas się na chwilę zatrzymał. Zrozumiałem, że to, co robi mój pan, jest nie tylko jego własną pracą.

To część czegoś większego, co wybiega daleko poza jedną chwilę i jedno miejsce. Ze-skoczyłem ze stołu i wtedy wszystko znów się rozmyło.

Wróciłem do lasu. Cisza była głęboka, a wiatr poruszał gałęziami drzew. Usiadłem i przez dłuższą chwilę nie ruszałem się wcale. To właśnie wtedy po raz pierwszy pomyślałem o powrocie.

Najważniejsze wydarzyło się jednak pewnej nocy nad wielkim jeziorem. Woda była nieruchoma, a niebo odbijało się w niej tak wyraźnie, że nie wiedziałem, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Usiadłem i patrzyłem.

Nagle poczułem spokój. Zrozumiałem coś, czego wcześniej nie potrafiłem nazwać. Moje wędrówki, moje skoki między miejscami i chwilami – to nie była ucieczka. To była nauka. Zobaczyłem, jak wszystko się łączy. Ludzie, miejsca, czas i gwiazdy. I wtedy pomyślałem o nim. O moim panu. O tym, jak siedzi samotnie i próbuje zrozumieć to samo, co ja widziałem w inny sposób. Poczułem, że muszę wrócić.

Nie było jednego skoku. Tym razem droga była spokojna. Jakby Warmia sama prowadziła mnie z powrotem. Mijałem znajome miejsca – jeziora, lasy, pola – ale już nie zatrzymywałem się na długo. Kiedy dotarłem na wzgórze we Fromborku, wszystko wyglądało tak samo. Tak samo jak to, za czym tak bardzo tęskniłem.

Przygody Urwisa

Czarno-rudy kocur ziewnął i zamruczał cicho:

– Normalnie nie mówię za dużo, ale dla ciebie zrobię wyjątek, Mikołaju.

Po czym zasnął. Następnego ranka kot podszedł do Kopernika i zaczął mu opowiadać o swojej przygodzie.

To był kolejny zwykły dzień. Kroczyłem korytarzami zamku za tobą i mruczałem, co kilka minut. W mojej głowie nagle pojawił się pomysł. A co, jakby przenieść się gdzieś w polskie góry? Bo zapewne nie wiesz, że posiadam zdolności, o których inni mogliby pomarzyć. Potrafię bowiem podróżować w czasie i przestrzeni. Spojrzałem na ciebie, po czym wyskoczyłem przez okno i uciekłem w dół zbocza, na którym położony był nasz zamek. Byłem już gotowy, aby przenieść się w Tatry, więc zamknąłem oczy i już nie mogłem się doczekać.

Zanim się zorientowałem, przy próbie przeniesienia w góry przez przypadek przeniosłem się do czasów średniowiecznych. Znalazłem się na wielkim polu. W oddali nie zobaczyłem gór, tylko dziwnych ludzi ubranych w białe płaszcze z czarnymi krzyżami. W popłochu zacząłem uciekać co sił w łapach, lecz nie zdałem sobie sprawy, że biegnę w stronę miejsca, gdzie miała się odbyć bitwa pod Grunwaldem. Chyba każdy wystraszyłby się Krzyżaków, gdyby spotkał ich na żywo i wcale się mu nie dziwił. Ich potężne miecze i zbroje wystraszyłyby niejednego.

Wracając do mnie. Biegłem przez dobre kilka minut, a ze strachu zapomniałem już o Tatrach. Nagle nieświadomie przebiegłem pod nogami wielkiego mistrza krzyżackiego Ulricha von Jungingena i jak to czarny kot chyba przyniosłem pecha jemu i jego wojskom. Można podejrzewać, że dzięki mnie polsko-litewskie wojska wygrały bitwę. Po bitwie zaprzyjaźniłem się z polsko-litewskimi wojskami, a szczególnie z królem Władysławem Jagiełłą. Niestety, musiałem wrócić do Fromborka, a że jestem kiepski z geografii, to poszedłem w zupełnie inną stronę i znalazłem się w wielkiej puszczy. Nagle usłyszałem czyjś cichy płacz i bez zastanowienia podszedłem do płaczącej osoby. Była to piękna młoda dziewczyna, która ciągle płakała.



– Hej wszystko w porządku? – zapytałem.

Dziewczyna pociągnęła nosem i powiedziała cicho:

– Jestem Ałna... – Nagle urwała, zalewając się łzami. – Syn złej czarownicy zakochał się we mnie. Razem ze swoją matką w podstępny sposób zabili mojego ukochanego Dobrzyńa – mówiła powoli, próbując powstrzymać łzy.

Nie wiedziałem, jak mam jej pomóc, więc postanowiłem się do niej przytulić i ją pocieszyć.

– Będzie dobrze – powiedziałem. – Ale na wszelki wypadek zostanę tu z tobą kilka dni.

I tak jak powiedziałem, tak zrobiłem. Jednak nawet moja obecność nie była w stanie jej pomóc. Po kilku dniach nawet matka Natura była smutna i rozlała źródła rzeki obok miejsca, w którym Alna płakała. Nie wiedziałem nawet, że byłem świadkiem powstania największej rzeki na Warmii, czyli Łyny.

Jak wiesz, koty nie lubią wody, więc postanowiłem wrócić do ciebie, ale jak też już wiesz, nie jestem geniuszem geografii, więc znowu znalazłem się w miejscu, w którym być nie chciałem. I takim oto sposobem trafiłem na zamek w Reszlu. Jednak mieszkańcy Reszla nie byli gościnni, bo kiedy spałem na dziedzińcu, obudziły mnie krzyki. Ludzie uznali mnie za kota czarownicy Barbary Zdunk, która miała zostać spalona na stosie. Cudem uniknąłem złapania i spalenia wraz z czarownicą, a przemierzając dalej Warmię, trafiłem do Olsztyna.

W Olsztynie swoje kroki skierowałem do zamku, który wydawał mi się bardzo przyjazny. Nic dziwnego, gdy przemierzałem powoli komnaty olsztyńskiego zamku, nagle natknąłem się na ciebie w przyszłości. Chciałem się z tobą przywitać, ale ty nie zwracałaś na mnie uwagi. Pomimo tego to było pierwsze miejsce, w którym poczułem się bezpiecznie, więc zwinąłem się w kłębek i postanowiłem się zdrzemnąć.

Rano obudziło mnie głośne miauczenie. Rozejrzałem się i zobaczyłem samego siebie z przyszłości. Tak się wystraszyłem, że co sił w nogach uciekłem z zamku. W nosie miałem już wyprawę w góry, chciałem wrócić jak najszybciej do domu.

Wędrowałem tak trzy dni i trzy noce, aż w końcu czwartego dnia ujrzałem znajome mi mury i wzgórze.

– To jest... – powiedziałem cicho – dom.

Kiedy tylko mój wzrok dosięgnął naszego pięknego zamku, moje łapy same poprowadziły mnie do niego. Wślizgnąłem się przez drzwi, gdzie usłyszałem ciebie. Nie wiedziałem, że moja nieobecność trwała tyle dni. Nareszcie poczułem się szczęśliwy, bo nie ma jak w domu.

Tak właśnie zakończyła się opowieść o towarzyszu Kopernika, choć kto wie, może ona się dopiero zaczyna.



Maria Tymińska

Szkoła Podstawowa nr 10 w Olsztynie, klasa IV

Urwis

– Urwisie, gdybyś umiał mówić...
Otworzyłem jedno oko i ziewnąłem:
„No dobrze, opowiem... ale tylko dlatego, że tak ładnie prosisz” – pomyślałem i przeciągnąłem się wygodnie na baraniej skórze.

To było kilka dni temu... Jeszcze zanim słońce na dobre wstało, wymknąłem się z fromborskiej wieży. Tym razem jednak nie kręciłem się po okolicy.

– Dziś pójdę dalej – mruknąłem. I poszedłem.

Szedłem długo, przez pola i ścieżki, aż w końcu poczułem znajomy zapach. Zatrzymałem się.

– Zaraz... ja to znam... – Rozejrzałem się uważnie. Drewniane chaty, mała droga, stary płot... – Jonkowo! – przypomniałem sobie.

To tutaj kiedyś mieszkałem z Marcinem, zanim trafiłem do Mikołaja. Usiadłem i przez chwilę tylko patrzyłem. Ciekawe, czy jeszcze tu są...

Podszedłem bliżej jednej z chat. Drzwi były uchylone, a ze środka dochodziły głosy.

– Trzeba będzie naprawić płot – powiedział ktoś.

Zajrzałem do środka. To był Marcin. Trochę starszy, ale to na pewno on. Obok niego stał chłopiec.

– Tato, a to prawda, że kiedyś mieliśmy kota?

Marcin uśmiechnął się lekko.

– Prawda. Rude urwisko. Ciągle gdzieś znikał.

Aż nastroszyłem futro. „Urwisko?!” – oburzyłem się w myślach. To było imię! Ale zaraz potem usiadłem spokojnie.

Chłopiec podszedł do drzwi i nagle mnie zauważył.

– Tato, kot!

Spojrzeliśmy z chłopcem na siebie. Przez chwilę było zupełnie cicho.

– Może to on? – zapytał chłopiec niepewnie.

Marcin podszedł bliżej.

– Nie... nasz był mniejszy...

Zmrużyłem oczy.

„No dziękuję bardzo...” – pomyślałem. Ale zamiast się obrazić, podszedłem bliżej i otarłem się o nogę Marcina. Ten uśmiechnął się i pogłaskał mnie.

– No, no... miły jesteś.

Zamruczałem cicho.

„Pamiętasz mnie. Tylko jeszcze o tym nie wiesz” – pomyślałem.

Nagle z podwórka dobiegł hałas.

– O nie, znowu! – westchnął Marcin i wybiegł na zewnątrz. Oczywiście pobiegłem za nim. Okazało się, że myszy znów przegryzły worki ze zbożem, które na drugi dzień miało zostać sprzedane.

– Wszystko na marne – powiedział Marcin, załamując ręce.

Niewiele myśląc, rzuciłem się w pogoń za myszami, złapałem jedną z nich i już miałem ją w pysku, gdy ta płaczącym głosem powiedziała:

– Proszę cię, wypuść mnie, a obiecuję, że ja i moja rodzina już nigdy tu nie wrócimy.

– Dobrze... – powiedziałem. – Ale zanim odejdziecie, pomożecie naprawić wszystkie szkody, jakie wyrządziłyście.

– Dobrze – zgodziła się mysz, po czym zawołała swoje siostry, które znalazły stare nitki i ponownie oplotły nimi worki, aby zboże nie miało ujścia.

– Ten kot nam pomógł! – zawołał chłopiec.

Usiadłem dumnie i zacząłem myć łapkę, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Po chwili spojrzałem jeszcze raz na dom.

No dobrze... czas wracać. Ruszyłem powoli w drogę. Już bez pośpiechu.

Ale zanim wróciłem do ciebie, mój drogi Koperniku... wydarzyło się jeszcze coś. Bo kiedy opuściłem Jonkowo, zamiast iść prosto do Fromborka... skręciłem. No dobrze. Może trochę zbłądziłem. A może po prostu chciałem sprawdzić, czy w Olsztynie wszystko jest na swoim miejscu. Dotarłem tam późnym wieczorem. Miasto było ciche, tylko wiatr szumiał między murami zamku kapituły warmińskiej. Zatrzymałem się.

– Hm... to wygląda znajomo – mruknąłem. W końcu przecież bywałem tu z tobą.

Wskoczyłem na mur, potem na parapet... i już po chwili byłem w środku. Cicho. Pusto. Idealnie. Nagle usłyszałem szelest.

– Mysz? – Nastawiłem uszy. Ale to nie była mysz. Z cienia wyłoniła się... sowa.

– Co tu robisz, kocie? – zapytała poważnie.

– Zwiedzam – odpowiedziałem spokojnie. – A ty?

– Pilnuję – odrzekła.

Spojrzałem uważniej. Coś było nie tak.

– Czego pilnujesz?

Sowa skinęła głową w stronę ściany. Na murze wisiał stary rysunek... kręgi, linie, coś bardzo znajomego.

– Ktoś próbował to zniszczyć – powiedziała cicho. – Przyszedł nocą. Wróci.

Zmrużyłem oczy. Nie wróci. Nie minęło wiele czasu, gdy usłyszeliśmy kroki. Człowiek skradał się przez komnatę, niosąc coś w ręku.

– To tylko stary rysunek... – mruknął. – Kto by się tym przejmował...

O, tego było za wiele. Wskoczyłem prosto na niego.

– Ała! – krzyknął, upuszczając narzędzie.

Zamachałem ogonem, przewróciłem kałamarz, aż echo poniosło się po całym zamku. Człowiek uciekł, gdzie pieprz rośnie. Sowa spojrzała na mnie z uznaniem.



- Dobrze pilnujesz... jak na kota.
 - Nie pilnuję - poprawiłem ją. - Po prostu dbam o swoje.
 - Bo w końcu... to trochę też twój zamek, prawda?
- A potem... przyszła noc. Cicha, spokojna, taka, jaką lubisz najbardziej, mój uczony przyjacielu.
- Dotarłem nad jezioro Ukiel. Usiadłem na brzegu i spojrzałem w niebo. Księżyc był duży. Jasny. I... jakiś inny. Przekrzywiłem głowę.
- Hm.
- Coś się nie zgadzało. Bo widzisz, ja też patrzyłem z tobą w niebo. Może nie rozumiem tych wszystkich twoich obliczeń... ale pamiętam. A ten księżyc wyglądał tak, jakby... zgubił kawałek siebie.

I wtedy zauważyłem coś jeszcze. Na wodzie drżało odbicie księżyca, ale nie takie jak zwykle. Jakby było... pęknięte.

– O nie... – mruknąłem.

Pochyliłem się nad wodą i wtedy zobaczyłem, co się stało. Na środku jeziora dryfowała stara, drewniana łódka. Przechylona. A w niej coś błyszczało. Bez wahania wskoczyłem na pomost, potem na jedną z belek... i hop... byłem na łódce. W środku leżało małe, okrągłe zwierciadło. Pęknięte.

I wtedy zrozumiałem. To nie księżyc się zmienił. To jego odbicie było uszkodzone.

– No dobrze... – westchnąłem. – Trzeba to naprawić.

Popchnąłem łapką lustro, aż ułożyło się równo. Potem jeszcze raz... i jeszcze trochę... Łódka zakołysała się lekko. Woda uspokoiła się. Spojrzałem. Odbicie księżyca znów było całe.

Usiadłem i przez chwilę patrzyłem w niebo.

– Teraz się zgadza – mruknąłem z zadowoleniem.

Bo przecież ktoś musi pilnować takich rzeczy. Nawet jeśli ten ktoś ma cztery łapy i trochę za długi ogon. Zeskoczyłem z łódki i ruszyłem dalej. Już naprawdę w stronę domu.

Poruszyłem wąsami przez sen.

„Księżyc... – pomyślałem leniwie. – Ciekawe, co byś na to powiedział...”

Zwinąłem się ciałniej w kłębek i tym razem naprawdę zasnąłem. Jak kot, który widział więcej, niż komukolwiek zdradzi.

Koci urwis na łowach

To był pochmurny, poniedziałkowy poranek. W takie dni nie mam w zwyczaju wychodzić na podwórko. Tym razem opuściłem swojego Mikołaja, żeby upolować kilka myszek niedaleko fromborskiej wieży. Niestety, myszy z całej okolicy uknuły jakiś spisek przeciwko mnie, bo tego dnia żaden gryzoń nie wpadł w moje łapy. Obrażony na cały świat oddaliłem się znacznie od moich terenów łownych.

Szedłem kilka dni i nocy, aż dotarłem do Ornety. Pomyślałem, że w tym mieście na pewno nie spotkam żadnej myszy, co najwyżej jakiegoś potwora, bo to miasto z tego słynie. Minąłem kilku przechodniów. Ludzie witali mnie serdecznie. Byli bardzo mili. Zadałem sobie pytanie, czy rozplywali się na mój widok, bo byłem Urwisem, kotem Kopernika i miałem najpiękniejsze, rude futerko na świecie, czy oni po prostu wiedzieli, że nie jestem zwykłym mruczkiem? Kiedy dumnie rozciągałem grzbiet przy starym ratuszu, nagle ziemia zadrżała pod moimi łapami. Bach! Wszystko zniknęło, a ja siedziałem w samym środku średniowiecznego jarmarku. Zapach wędzonych ryb i stukanie końskich kopyt nasilały się z każdą chwilą. Nastroszyłem futro, bo usłyszałem głośnie chrapanie.

„To pewnie on, prawdziwy smok z Ornety” – pomyślałem i zamiast uciekać gdzie pieprz rośnie, postanowiłem sprawdzić, czy bestia doceni moją urodę. Znalazłem potwora za starą, rozpadającą się szopą. Smok usłyszał moje skradanie się, uniósł jedną



powiekę, spojrzął na mój rudy ogon i mruknął z uznaniem. Widocznie nawet w średniowieczu rozpoznawano prawdziwe piękno. Stwór zamknął swoje ślepie i chyba nie zauważył, kiedy pomrugałem do niego moimi mądrymi oczami. Zwinąłem się w kłębek na zimnej, wybrukowanej ulicy, mrucząc głośniejsz niż on. Ludzie, którzy to słyszeli, musieli zadrzeć ze strachu, a ja właśnie oswoiłem się z legendarnym smokiem. Chciałem z nim pogadać, więc czekałem, aż się obudzi. Spał tak długo, że straciłem ochotę na pogawędkę. W oczekiwaniu sam się zdrzemnąłem, udowadniając, że rudy kot zawsze znajdzie dla siebie ciekawe zajęcia.

Gdy ocknąłem się, okazało się, że znowu jestem w Ornece. Nie powiem, że bym był z tego powodu zadowolony. Ostatecznie przyszło mi do głowy, że bycie sławnym podróżnikiem w czasie to naprawdę wspaniałe przeżycie, zwłaszcza że okazało się, iż właśnie rozglądałem się po mieszkaniu jakiegoś Ornecianina. Niestety, ten człowiek nie miał lustra, więc nie mogłem sprawdzić, czy dobrze wyglądam „w gościach”. Na moje szczęście lokal zamieszkiwała czarna kotka. Na jej widok nisko się pokloniłem. Widziałem, jak z zazdrością patrzyła na moje gęste, rude futerko. W napięciu zerkąłem na nią i czekałem na jej następny ruch. Miałem nadzieję, że zaprowadzi mnie do miski pełnej jedzenia, bo przecież byłem głodny jak wilk. Musiała usłyszeć burczenie w moim brzuchu, bo zaproponowała polowanie na myszy. Przyznałem, że nie mam siły na łowy, bo od kilku dni nie miałem nic w ustach. Nie dała za wygraną. Zaprowadziła mnie do piwnicy, po której biegało wiele gryzoni. Złapałem cztery myszy. Jedną z nich postanowiłem zanieść Mikołajowi. Trzymając w zębach zdobycz, pożegnałem się z kotką i ruszyłem w stronę Fromborka. Po drodze zjadłem jednak myszkę, mając nadzieję, że za chwilę upoluję kolejną szare zwierzątko.

Długo wracałem do domu, zacząłem nawet tęsknić za moim Kopernikiem. Chciałem pooglądać z nim gwiazdy i pogrzać się na ukochanej, baraniej skórce. Było mi smutno, że wracałem bez подарunku dla mojego pana. Ostatecznie pomyślałem, że będę dla niego najlepszym prezentem. I rzeczywiście byłem, bo na mój widok popłynęły mu z oczu łzy szczęścia. Chciał wiedzieć, gdzie byłem, ale nie miałem ochoty o tym opowiadać.



Urwis Kopernika

Urwis spał, ale tylko na niby. Jego rude futerko lekko się unosiło, jakby snił o czymś ważnym. Jednak po chwili jedna z jego powiek powoli się uchyliła. W izbie było cicho, tylko wiatr delikatnie poruszał okiennicą, a gdzieś w kącie skrzypnęła stara deska.

„No dobrze... – pomyślał kot. – Chyba czas mu to w końcu pokazać”.

Powoli wstał, przeciągnął się, aż jego grzbiet wygiął się w łuk. Zeskoczył miękko na podłogę i bezszelestnie wskoczył na parapet. Noc na zewnątrz była chłodna, ale bardzo jasna. Niebo było pełne gwiazd, jakby ktoś rozsypał na nim tysiące maleńkich światełek.

Urwis spojrzał dokładnie w to jedno miejsce, które interesowało go od wielu dni.

– Miau – odezwał się cicho, ale tym razem inaczej niż zwykle.

Mikołaj Kopernik podniósł głowę znad swoich papierów. Wyglądał na zmęczonego. Jego oczy były podkrążone, a włosy trochę rozczochrane, jakby od dawna nie miał czasu nawet ich poprawić.

– Co znowu, Urwisie? – zapytał spokojnie. – Dopiero wróciłeś, powinieneś odpoczywać.

Kot jednak nie ruszył się ani o krok. Wpatrywał się tylko w niebo.

– Miau! – zamiauczał, tym razem głośniej.



Kopernik westchnął i spojrzał na stół. Leżały tam jego przyrządy: astrolabium, którym mierzył położenie gwiazd, kwadrant do wyznaczania kątów oraz armilla, czyli metalowe obręcze pokazujące ruchy planet. Obok nich były kartki zapisane drobnym pismem, pełne rysunków i obliczeń.

– Urwisie, nie przeszkadzaj panu. Ja naprawdę pracuję nad czymś bardzo ważnym.

Ale kot nie dawał za wygraną. Zeskoczył z parapetu, podszedł do stołu i delikatnie trącił łapą pióro. Potem znów wskoczył na okno i spojrzał w to samo miejsce. Zrobił to jeszcze raz. I jeszcze raz.

– No dobrze... – mruknął Kopernik. – Widzę, że się nie poddasz.

Wstał powoli i podszedł do okna. Przez chwilę patrzył tak jak zawsze – ogólnie, bez skupienia. Widział gwiazdy, które znał, ich układ, który już tyle razy rysował.

Ale Urwis siedział zupełnie nieruchomo. To było dziwne. Kopernik zmrużył oczy i spojrzał dokładniej. Potem sięgnął po astrolabium i zaczął mierzyć. Zapisał wynik. Następnie sięgnął po starsze zapiski i porównał liczby. Zatrzymał się.

– To... chyba niemożliwe – powiedział cicho.

Wziął kwadrant i sprawdził jeszcze raz. Tym razem jeszcze dokładniej. Serce zaczęło mu bić szybciej.

Ta jedna gwiazda nie była tam, gdzie powinna być. Przesunęła się. Bardzo mało, prawie niezauważalnie... ale jednak.

Urwis zamruczał cicho i usiadł obok, jakby pilnował, żeby jego pan tego nie przeczytał.

Od tej chwili wszystko się zmieniło. Każdej kolejnej nocy Kopernik wracał do tego miejsca. Obserwował, mierzył, rysował. Czasem było zimno i dłonie mu drżały, ale i tak nie przestawał. A Urwis zawsze był obok. Cichy, spokojny i bardzo skupiony. Czasem tylko spojrzał na swojego pana, jakby sprawdzał, czy ten nadąża.

I wtedy Kopernik zrozumiał coś bardzo ważnego. Że niebo wcale nie jest takie nieruchome, jak się ludziom wydaje. Że są rzeczy, które się zmieniają, tylko trzeba mieć cierpliwość, żeby to zauważyć. A czasem... trzeba też kogoś, kto pokaże, gdzie patrzeć.

Pewnej nocy odłożył pióro i długo patrzył w niebo, a potem na swojego kota.

– Wiesz co, Urwisie... – powiedział cicho. – Chyba pomogłeś mi bardziej, niż myślisz.

Kot powoli zamknął oczy i zamruczał.

„No wiem” – pomyślał.

Kopernik uśmiechnął się i pogłaskał jego rude futro.

Od tej pory już nigdy nie zbywał swojego kota. Gdy tylko Urwis siadał przy oknie i wpatrywał się w niebo, uczony od razu wiedział, że może wydarzyć się coś ważnego.

Bo rozumiał jedną prostą rzecz. Nawet jeśli ktoś jest bardzo mądry i dużo wie, to i tak nie widzi wszystkiego. A czasem wystarczy jeden uparty, rudy kot, który patrzy trochę dłużej niż inni... żeby odkryć coś naprawdę niezwykłego.



Vitalij Koryśko

Szkoła Podstawowa nr 8 w Bartoszycach, klasa V

Koty Kopernika kontra magiczna podróż po Warmii

W starej, zimnej wieży we Fromborku, gdzie wszędzie leżały stopy zakurzonych papierów i dziwne przyrządy do obserwacji gwiazd, mieszkał Mikołaj Kopernik. Wszyscy myślą, że on tylko siedział i liczył, ale tak naprawdę miał dwóch najlepszych kumpli: kota Astrolaba i Urwisa. Astrolab był to wielki, czarny kocur, który wyglądał jak kawałek nocnego nieba, a Urwis był rudy i tak szybki, że nikt nie mógł go złapać, kiedy kradł kawałki kiełbasy z kuchni.

Pewnego wieczoru Mikołaj siedział przy swoim biurku i drapał się piórem po głowie. Próbował zrozumieć, dlaczego planety tak dziwnie skaczą po niebie. Świecek powoli się wypalała, a w wieży robiło się coraz cieplej od małego piecyka. Koty ułożyły się wygodnie na jego chudych kolanach. Nagle, kiedy ich mruczenie stało się bardziej głośnie, wydarzyło się coś niesamowitego. To nie był zwykły sen, to była wielka magiczna wyprawa! Chociaż ich ciała leżały w wieży, to ich kocie dusze wyskoczyły przez okno i pobiegły zwiedzać świat.

Najpierw te dwa sprytnie zwierzaki wylądowały w Olsztynie. Zamek w Olsztynie wyglądał w ich śnie jak wielka góra z cegieł. Astrolab, który zawsze udawał odważnego, zaczął biegać po wysokich murach i zaglądać do każdego pomieszczenia. Urwis natomiast znalazł na ścianie taką specjalną tablicę, którą narysował ich pan. Zamiast się nad nią zastanawiać, uznał, że linie na ścianie to świetna trasa do ścigania się. Koty biegały po korytarzach, gdzie echo ich miauczenia budziło zaspanych strażników, którzy myśleli, że to jakieś duchy. Koty sprawdziły nawet, czy w zamkowej kuchni nie zostały jakieś pyszności po kolacji strażników i urządziły sobie wielką ucztę z wymyślonych myszy.

Zaraz potem w jednym mgnieniu oka przeniosły się do Lidzbarka Warmińskiego. Ten zamek był jeszcze większy i miał mnóstwo schodów! Koty biegały po nich w górę i w dół, robiąc hałas swoimi twardymi i zmęczonymi łapkami. Urwis odkrył, że podłogi w salach są tak wypolerowane, że można się po nich ślizgać. Ślizgał się więc od ściany do ściany, a Astrolab próbował go dogonić, przewracając krzesła. Wślizgnęły się też do prywatnych komnat, gdzie kiedyś spał sam król. Astrolab stwierdził, że dobrym pomysłem będzie poskakać i podrapać łóżko, a Urwis położył się na wielkim dębowym biurku, aby odpocząć.

Ale to nie była długa przerwa! Bo po chwili ich sen przeniósł je do Bartoszyca. To miasto w nocy wyglądało zupełnie inaczej niż Frombork. Było tam bardzo cicho i znajdowało się tam dużo ciasnych uliczek, które koty uwielbiają zwiedzać. Najbardziej zaciękały je baby pruskie, wielkie kamienne posągi przedstawiające wojowników lub kapłanów, wykonane między jedenastym a trzynastym wiekiem przez Prusów.



Urwis myślał, że te kamienne postacie chcą się z nimi bawić, więc skakał im po głowach i się po nich wspinał. Koty przebiegły cały rynek, zaglądając do każdego okna i patrząc, co ludzie robią w nocy. Poczują zapach ryb z Łyny i dym z kominów, a całe Bartoszyce wydawały się im jednym wielkim placem zabaw, stworzonym specjalnie dla nich.

Nagle, kiedy miały biec dalej, obraz zaczął się zamazywać. Chłodne mury zamków zmieniły się w miękkie futerko, a gwar Bartoszyce w ciszę wieży we Fromborku. Astrolab poczuł, że jego łapa nie dotyka już kamiennej baby, tylko twardego stołu z papierami, a Urwis wyczuł pod brzuchem zimną podłogę, zamiast miękkiego dywanu z milutkiej trawy.

Koty otworzyły oczy i zobaczyły Mikołaja, który właśnie odkładał pióro. Słońce zaczęło powoli wschodzić nad wodą.

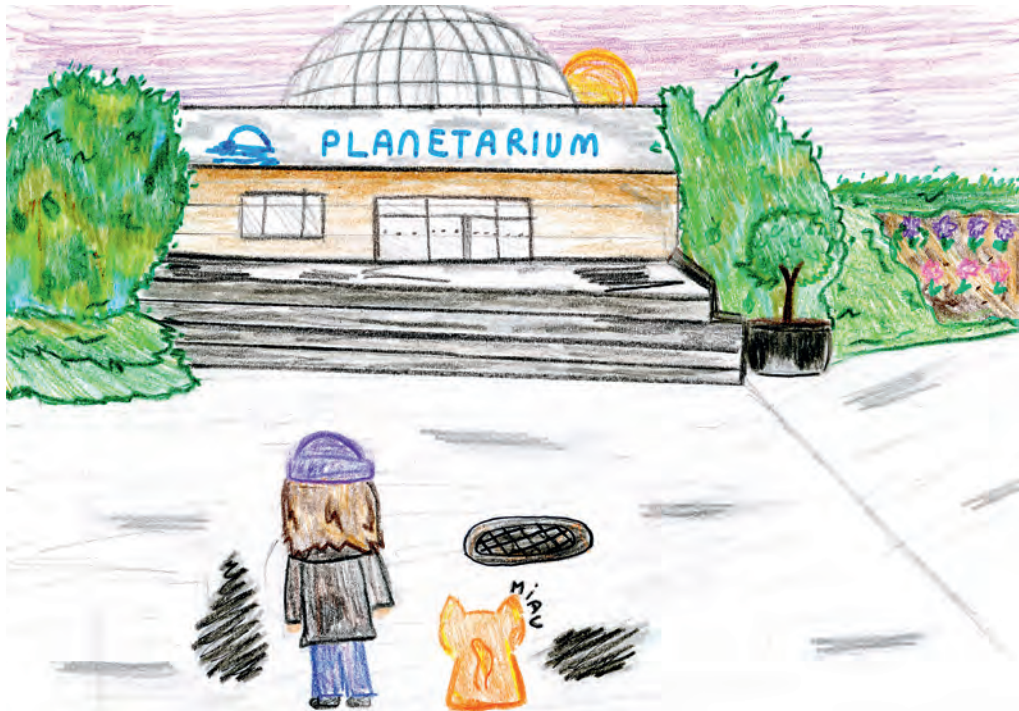
– No i jak tam, moi podróżnicy? – zapytał Kopernik z uśmiechem i pogłaskał Astrolaba za uchem. – Śniła wam się cała Warmia ze wszystkimi zamkami?

Koty tylko spojrzały na siebie i mrugnęły, tak jakby chciały opowiedzieć Mikołajowi, co widziały, ale uświadomiły sobie, że nie potrafią mówić. Koty na pewno tego nie zapomną.

Magiczny kot Urwis

To był zwyczajny pogodny dzień roku 1492. Urwis, kot Kopernika, zdecydował udać się na przechadzkę po Fromborku. Spacerował sobie przez bardzo długi czas i nagle zobaczył sklep ze świeżutkimi rybami. Szybko, bez wahania wskoczył na błyszczącą ladę ze smakowitymi kaskami i zabrał jeden z nich ze sobą. Urwis, razem ze swoją smaczną rybką, dalej spacerował po mieście. W pewnym momencie nie był do końca pewien, gdzie się znajdował. Dookoła siebie widział tylko nieznajome stare budynki i jeszcze więcej nieznajomych mu drzew. Robiło się już późno, a Urwis nie wiedział, jak ma wrócić do domu. Po chwili zastanowienia wdrapał się na najbliższe drzewo i ze zmęczenia zasnął.

Obudził się bardzo zdziwiony, ponieważ dookoła zamiast nieznajomych i starych budynków zobaczył piękne, nowoczesne i oszklone miasto. Zorientował się, że nie jest już w swoim mieście, tylko w kompletnie innym miejscu. Dużo więcej czasu zajęło mu jednak zrozumienie, że znajduje się w innym czasie, a mianowicie w roku 2025. Pewnie jesteście ciekawi, skąd wiedział, że akurat w 2025, a nie w innym roku. Już wam mówię. Wiedział to, ponieważ akurat odbywał się festiwal obchodzony na pożegnanie 2024 roku, a powitanie nowego, czyli 2025 roku. Urwis był ogromnie zdziwiony i zastanawiał się, jak to się stało. Myślał... Miał kilka wytłumaczeń. Albo był tak zmęczony, że przespał pięćset trzydzieści trzy lata, albo ktoś urządzający festiwal pomylił się o te pięć wieków. Choć oba pomysły były szalone i dziwne, to i tak czuł, że coś musiało się wydarzyć. Zaczął rozglądać się po nowym otoczeniu z lekkim niezadowoleniem, bo mijając próg, nie widział już swojego ulubionego sklepu z przepięknie pachnącymi rybkami, tylko jakieś posągi. Jeden z nich kogoś mu przypominał. Nagle zaczęło mu się wydawać, że nie bez powodu przypomina kogoś mu bliskiego. To był posąg jego opiekuna, czyli Mikołaja Kopernika! Był bardzo zdziwiony. Zastanawiał się, czemu postawili mu posąg. Wtedy zobaczył kogoś intrygującego. To była jakaś pani ubrana w ciemny płaszcz i piękną lawendową czapkę na głowie. Szła bardzo szybko, jakby się gdzieś śpieszyła. Naszła go myśl, żeby iść za nią, lecz zanim Urwis zdążył się namyślić, dziwna pani zniknęła mu z oczu. Rozpoczął poszukiwania, ale to nie było takie łatwe, ponieważ z powodu festiwalu były straszne tłumy. Biegł bardzo szybko, szukając tej tajemniczej kobiety. Był już tak zmęczony, że zatrzymał się w Parku Centralnym i wspiął się na ławkę. Zdrzemnął się chyba z piętnaście minut, po czym wstał z ławki i ujrzał niewiele dalej od siebie tę samą panią, której szukał. Był bardzo podekscytowany, widząc tuż przed sobą swój cel, a dokładniej kobietę w ciemnym płaszczu i lawendowej czapce. W pośpiechu zaczął biec



jak najszybciej mógł. Zatrzymał się przed nią i zaczął się ocierać o jej ciemny płaszcz. Pani odwróciła się w jego stronę i spojrzała na Urwisa z zaciekawieniem:

– Jak się wabisz, kociaku? – Po chwili ujrzała jego obrózkę i zorientowała się, że wabi się Urwis. – Nazywasz się Urwis, tak? – Kociak, nie mogąc odpowiedzieć na jej pytanie, po prostu zamiauczał i lekko pokiwał głową. – Masz bardzo ładne imię. Ja nazywam się Flora. Pracuję w tutejszej szkole, naprzeciwko Galerii Warmińskiej.

Na małą chwilę zapadła cisza, a potem znowu się odezwała:

– A ty mieszkasz gdzieś tutaj w okolicy? – Kotek, chcąc nie chcąc, nie mógł jej do końca opowiedzieć całej historii oraz tego, że teleportował się w czasie o pięćset trzydzieści trzy lata wprzód, więc po prostu pokręcił głową. Flora przyjęła to do wiadomości i, nie zamęczając Urwisa kolejną masą pytań typu, gdzie mieszka i do kogo należy, po prostu zaproponowała mu oprowadzenie po mieście. Kotek z chęcią ponownie pokiwał głową.

– No to zaczynajmy. Co najpierw chciałbyś zobaczyć? – zapytała Flora. – Może jezioro Ukiel albo Wysoką Bramę, albo planetarium?

Urwis po krótkiej chwili namysłu już chciał zamiauczyć, lecz przeszkodziło mu w tym burczenie w brzuchu. Flora, gdy to usłyszała, zrozumiała, że kotek jest pewnie bardzo głodny. Powiedziała, że zanim zaczną, powinni jednak coś zjeść. Kociak zamruczał na zgodę i zaczął podążyć za nią.

– Chodźmy na najbliższy przystanek autobusowy. Stamtąd pojedziemy do sklepu z przysmaczkami dla kotów. Autobus mamy za minutę – powiedziała z przekonaniem.

Kot z przemęczenia tą całą sprawą podszedł do ławki pod wiatą autobusową i położył się na chwilę. Niebawem przyjechał autobus. Wsiedli. Flora zajęła miejsce i wzięła Urwisa na kolana. Jechali około piętnastu minut, więc zanim się obejrzel, byli na miejscu. Wsiedli.

– Oto sklep zoologiczny Maxi Zoo – powiedziała Flora. – Tu kupimy przysmaczki dla ciebie, żebyś nie był głodny.

Urwis podszedł do półki z przekąskami i zamruczał, a potem zrzucił jedną paczkę z półki.

– Rozumiem, że ta ci przypadła do gustu, a więc chodźmy do kasy. – Flora zapłaciła i dała karmę kociakowi. – Proszę zjedz sobie, nie będziesz już głodny, a potem pójdziemy zwiedzać.

Urwis po zjedzeniu przysmaku zdecydował, że jest gotowy zobaczyć Olsztyn. Flora zabrała go najpierw do szkoły, która znajdowała się nieopodal. Szli przez pasy, chodnikiem i po kilku minutach dotarli na miejsce. Kociak, widząc ten budynek, aż oniemiał z zachwytu. Nie sądził, że ta szkoła jest taka ogromna.

– Ładna, prawda?

Urwis, chcąc pokazać swój entuzjazm, miauknął. Następnie pojechali tramwajem do planetarium. Podczas drogi Flora próbowała dowiedzieć się, skąd jest Urwis. Kociak, miaucząc, wzruszył łapkami. Zorientował się jednak, że na oknie tramwaju wisi mapa. Szybko zbiegł z siedzenia i wskazał łapą na szkic, skąd pochodzi. Flora, zaskoczona tym, że mieszka tak daleko, zamilkła na kilka sekund. Nagle krzyknęła:

– Naprawdę mieszkasz aż we Fromborku?! – Urwis, chcąc przytaknąć, kilkakrotnie pokiwał głową. To był ogromny szok dla Flory, ale nie chcąc już prowadzić rozmowy, przestała pytać. Kociak ponownie wdrapał się na fotel, niestety nie na długo, bo dosłownie po dwóch minutach byli na miejscu.

– Oto nasze cudowne planetarium. Jak ci się podoba? – zadała Urwisowi pytanie. Kot z wyczerpania kiwnął tylko głową. Robiło się już ciemno, a on coraz bardziej tęsknił za Kopernikiem. – Pewnie jesteś już zmęczony... Ja też muszę jutro wracać do pracy, więc może chodźmy na ostatni spektakl do planetarium i wracajmy do domu – dodała Flora.

Weszli, a Urwis zobaczył stoisko z pamiątkami. Widział tam różne figurki kolorowych planet. Zamruczał i strzepnął jedną ze stolika.

– Oj, Urwis. Jeśli chcesz tak bardzo tę figurkę, to ci ją kupię. Będziesz miał jakąś pamiątkę z naszej wspólnej wyprawy.

Gdy Flora to mówiła, kociak zobaczył coś bardzo tajemniczego, a dokładnie wielki posąg z planetą. Lecz nie był on taki zwykły, błyszczał się tak mocno, że nie można było oderwać wzroku. Kociak domyślił się, że to portal do jego miasta. Zasmucił się na myśl o pożegnaniu z Florą, ale równie mocno tęsknił za Mikołajem Kopernikiem. Z pośpiechu otarł się tylko o ciemny płaszcz Flory, zabrał figurkę, a potem szybko wspiał się na posąg z planetą. Zanim wskoczył, usłyszał tylko cichy krzyk Flory:

– Powodzenia!

Po wdrapaniu się na planetę nieoczekiwanie szybko zasnął, ale nie do końca. On nie spał, tylko teleportował się o pięćset trzydzieści trzy lata wstecz. Flora spokojnie wróciła do domu i Urwis w sumie też...

Obudził się w tym samym miejscu, co wcześniej, ale teraz widział już znajome, stare budynki i piękne drzewa. Był już ranek. Jak najszybciej wbiegł na górkę, ujrzał swoje przepiękne miasto, swój ulubiony sklep z rybkami, a na wzgórzu w oddali swój domek. Tak mocno stęsknił się przez te prawie pełne dwa dni, że nie mógł się powstrzymać. Wspiał się na górę i ujrzał Kopernika. Szybko objął go łapkami i dał mu pamiątkę z olsztyńskiego planetarium.



Kot Urwis i podróże w czasie

Urwis przeciągnął się leniwie na swojej baraniej skórze i zamknął oczy. Sen jednak nie przychodził. W jego zielonych oczach pojawiły się wspomnienia. Słowa, które powiedział Mikołaj Kopernik, wciąż brzmiały mu w głowie: „Gdybyś umiał mówić...”.

„A skąd wiesz, że nie umiem?” – pomyślał kot. – „Po prostu nie zawsze mam ochotę”. Gdyby jednak chciał, opowiedziałby swoją historię.

Wszystko zaczęło się pewnej mglistej nocy. Urwis wymknął się z wieży, bo coś ciągnęło go dalej niż zwykle. Zbiegł po schodach i cicho przeszedł uliczkami Fromborka. Potem ruszył przez pola. Spotkał tam starego, czarnego kota z jednym uchem. Powiedział on, że świat jest większy, niż myślą ludzie. Urwis nie bardzo mu uwierzył i nie do końca rozumiał te słowa.

Przez kilka dni wędrował dalej. Spał na strychach, gdzie było ciepło, łapał myszy, a raz uciekał przed dużym psem. Pewnego dnia nad rzeką zobaczył swoje odbicie. Wyglądało inaczej. Im dłużej się wpatrywał, tym bardziej wszystko zaczynało wirować. Zakręciło mu się w głowie i nagle znalazł się gdzie indziej – dokładnie tam, o czym pomyślał. Wtedy zrozumiał, co miał na myśli czarny kot.

Urwis wędrował tak przez kilka dni, teleportując się w różne miejsca. Aż w końcu trafił do Lidzbarka Welskiego. Tam spotkał dwóch braci – Grzesia i Krzysia. Był już zmęczony tymi podróżami, więc gdy przypadkiem pośród ludzi zapominał się i zamruczał ludzkim głosem, sam się zdziwił.

- Kim ty jesteś? – zapytali chłopcy.
- Jestem kotem Mikołaja Kopernika – odpowiedział zaniepokojony Urwis.
- Ale jak to? Przecież Kopernik dawno nie żyje?! – zdziwili się.
- Umieję się teleportować. Mogę przenieść się do przeszłości albo przyszłości.
- Pokaż nam!
- Gdzie chcecie iść? – zapytał kot.
- Do dawnego Lidzbarka! Do osiemnastego wieku!

Chłopcy zabrali go nad rzekę Wel. Urwis spojrzał na swoje odbicie. Nagle wszystko zaczęło się kręcić. Po chwili stali na rynku. Wszystko wyglądało inaczej. Domy były



drewniane, węższe i niższe niż teraz. Na ulicach było więcej ludzi, którzy nosili dziwne ubrania. W powietrzu unosił się zapach dymu i drewna.

– To naprawdę działa... – szepnął Krzyś.

Chodzili razem po mieście. Zaglądali w różne miejsca, oglądali domy i stragany. W końcu zobaczyli zamek.

– Patrz! Jaki piękny! – krzyknął Grzesiek.

Zamek był duży i robił wrażenie. Chłopcy byli zachwyceni. Wszystko wydawało się jak z innego świata.

Nagle ktoś zaczął krzyżeć:

– Pożar! Pożar!

Na jednym z dachów pojawił się ogień. Najpierw mały, ale szybko rósł. Wiatr rozdmuchał płomień i w kilka chwil całe ulice zaczęły płonąć. Ludzie biegali, krzyżeli, próbowali ratować swoje rzeczy. Słychać było trzask drewna i huk zawałających się dachów. Dym był gęsty, a powietrze bardzo gorące.

– Uciekajmy! – krzyknął Grzesiek.

– Urwis, zabierz nas stąd! – wołał przerażony Krzyś.

Kot spróbował teleportacji, ale nic się nie działo.

– Nie działa... potrzebuję odbicia – powiedział przerażony kot.

W tej samej chwili obok nich spadła płonąca belka. Chłopcy zaczęli uciekać ile sił w nogach. Serce biło im bardzo szybko. Nagle usłyszeli ludzi z wiadrami wody. Rozpoczęto gaszenie ognia.

– Woda! – krzyknął Urwis. – To nasza szansa!

Podbiegli bliżej. Na ziemi pojawiły się kałuże.

– Teraz! – zawołał kot.

Spojrzał na odbicie i świat znów zaczął wirować. W ostatniej chwili zniknęli. Po chwili wszystko ucichło, a następnie było słycać tylko gwar zakorkowanej ulicy. Był przecież dzień targowy. Urwis wrócił bezpiecznie z chłopcami do ich czasów. Kot zamruczał cicho, ale tym razem nie był już taki spokojny jak zwykle. Pomyślał o tym, co się stało. O pożarze, o strachu i o tym, jak niewiele brakowało. Zrozumiał, że takie podróże mogą być niebezpieczne. Że mogą coś zmienić, a wtedy historia potoczyłaby się inaczej. Poprosił chłopców, aby ponownie zabrali go nad rzekę, a tam się z nimi pożegnał, bo zatęsknił nagle za swoim domem i spokojnym życiem u boku Mikołaja Kopernika.

Kiedy Urwis ponownie otworzył oczy, był znowu w wieży. Leżał na swojej skórze i był bardzo zmęczony. Obok siedział jego opiekun.

„Lepiej niech wszystko toczy się swoim biegiem” – pomyślał kot i zmęczony zamknął oczy.

Mógłby opowiedzieć o wszystkim, o swoich podróżach, o chłopcach i o pożarze, ale tym razem był pewien jednego. Nie warto ryzykować. Bo nawet kot wie, że niektórych rzeczy lepiej nie zmieniać. Mruknął cicho i zasnął. Bo koty wiedzą bardzo dużo, tylko nie zawsze mają ochotę o tym mówić.

Wędrowiec z Fromborka

Pewnego wiosennego, późnego popołudnia Mikołaj Kopernik wraz ze swoim kotem Stellem wybrali się na fromborskie wzgórze. Stellowi nie podobał się zbytnio ten pomysł, ale wiedział, że jeśli pójdzie z Kopernikiem, to będzie mógł iść spać nieco później, ponieważ Stello nie przepadał za snaniem. Kiedy byli w drodze na fromborskie wzgórze, robiło się coraz ciemniej, a gdy tam dotarli, miasto rozświetlały już tylko światła uliczne. Gdy minęły dwie godziny, kot zaczął się nudzić, więc zaczął głośno mruczeć, aby iść do domu.

„Już bym wolał spać, niż tu siedzieć i marznąć – pomyślał kot. – Mam wrażenie, że on chyba woli patrzeć na niebo niż na mnie”.

Po chwili Stello miał już dość i stwierdził, że pójdzie sam do domu. Kopernik po trzydziestu minutach był zmęczony, a kiedy wstał, nigdzie nie widział kota.

– A może poszedł sam do domu? – powiedział do siebie Kopernik i dodał: – Dziś nie będę go szukać.

Niestety, tego wieczoru Stello nie dotarł do domu, ponieważ ze zmęczenia kotu zaczęło się wszystko mieszać. Zamiast iść ulicą Katedralną, poszedł ulicą Mikołaja Kopernika, a gdy miał iść ulicą Zieloną, poszedł Braniewską. Gdy kot szedł wzdłuż drogi, zauważył tajemniczy złoty wisior z zawieszka przypominającą tarczę zegara. Kot się zastanowił, zanim go ubrał, ale ostatecznie go wziął.

„Hmm... ciekawy ten wisior, a może to jakiś amulet?” – rozmyślał kot.

Po godzinnym spacerze Stello był w Braniewie, ale był na tyle zmęczony, że położył się na stercie liści obok drogi. Kot, kładąc się, nie zauważył, że nacisnął nosem zawieszka na wisiorze. Następnego dnia kot obudził się w roku 1970. Miał podejrzenia, że może być to wina wisiorka, po czym ruszył w stronę rynku, gdzie spotkał chłopca.

– Kotku, nie widziałeś mojej niebieskiej torby? – zapytał płaczący chłopiec. – Mam w niej moje książki.

Stello zastanowił się chwilę i przypomniał sobie, że widział taką obok poczty. Kot szturchnął chłopca ogonem i zaczął iść w stronę poczty, a chłopiec za nim. Nie minęła chwila, a chłopiec miał swoje książki z powrotem. Chłopiec podziękował Stellowi i każdy poszedł w swoją stronę. Chłopiec przed siebie, a kot w przeszłość. Kot po chwili zauważył wóz z sianem. Ciągnęły go konie, których kot się bał, lecz stwierdził, że nie ma



innego wyboru i wskoczył na siano. Po kilku minutach kot przypomniał sobie, że jest w przeszłości. Nie wiedział niestety, jak wrócić z powrotem.

„Wiem! Spróbuję jeszcze raz nacisnąć” – pomyślał Stello.

Po naciśnięciu wisiorka kot powrócił do teraźniejszości, wóz zniknął, a otoczenie momentalnie się zmieniło. Na szczęście Stello zobaczył przystanek autobusowy. Kot zakradł się tam potajemnie i podsłuchiwał rozmowę telefoniczną.

– Hej, Magda, zaraz przyjedzie mój autobus. Za godzinę spotkamy się pod zamkiem – powiedziała dziewczynka przez telefon.

Kot stwierdził, że dobrym pomysłem będzie wejście do torby dziewczynki. Zrobił to bez zastanowienia w momencie, kiedy nadjechał autobus. Po godzinie, gdy autobus był obok zamku, Stello szybko z niego wyskoczył. W pierwszym momencie nie wiedział, gdzie jest, ale po chwili zauważył tablicę „Zamek w Lidzbarku Warmińskim”. Stello kawałek przed wejściem zobaczył stoisko ze smażonymi rybami, którym nie mógł się oprzeć, więc zakradł się tam i ukradł dwie ryby. O dziwo, nikt go nie zauważył. Kot od razu po zjedzeniu ryb udał się do zamku. Stello przeszedł niezauważony przez bramki za innymi turystami, chwilę pozwiedzał zamek, ale nagle zobaczył drzwi z napisem „Wstęp dla pracowników”. Nie musiał długo czekać, aż ktoś tam wejdzie, bo jeden z przewodników szedł na przerwę. Stello zakradł się za nim. Gdy tam weszli, przewodnik poszedł w lewo, do pomieszczenia dla pracowników, a kot na wprost, w kierunku podziemi. Stello musiał zejść po stromych i krętych schodach. Po kilku minutach kot był w podziemiach. Był tam długi korytarz, który wyglądał jak labirynt. Podziemia były tak duże, że Stellowi przejście ich zajęło trzydzieści minut. Gdy skończył się labirynt, czekały go jeszcze schody, ale na szczęście nie było ich tak wiele. Długie schody prowadziły do wyjścia przez las.

Kiedy Stello wyszedł z podziemi, zauważył harcerzy. Postanowił iść za nimi, aż wyjdą z lasu. Kiedy wyszli z lasu, Stello stwierdził, że będzie iść za nimi dalej. Po dwóch godzinach kot był już zmęczony i odłączył się od harcerzy. Okazało się, że był w Giżycku. Zaczął chodzić między domami. Był głodny, więc rozglądał się za jedzeniem. W końcu poczuł zapach ryb i pobiegł w jego stronę. Zobaczył rybaka, który czyścił świeżo złowione ryby. Kot podkraść się cicho i spróbował zabrać jedną, ale rybak go zauważył i zaczął go gonić. Kot uciekał, ile sił w łapach. Przeskakiwał przez skrzynki, beczki i ławki, aż w końcu wbiegł na pomost. Nie miał gdzie dalej uciec, więc wskoczył na małą łódkę. Łódka odbiła od brzegu i zaczęła się oddalać. Kot przestraszył się, ale po chwili uspokoił się i położył na dnie łodzi. Gdy łódka dopłynęła do drugiego brzegu, kot szybko wyskoczył i pobiegł dalej, zostawiając Giżycko za sobą. W tym samym czasie Mikołaj Kopernik wyruszył do Olsztyna, bo wiedział, że Stello uwielbia to miasto i może go tam spotkać. Kiedy Stello szedł wzdłuż drogi polnej, zauważył wiele zwierząt leśnych. Były to sarny, zające, jeże, lisy i różnej maści ptaki. Kot dotarł do Olsztyna, ledwo trzymając się na łapach. Był wyczerpany po całej podróży przez Warmię i Mazury. Na chwilę usiadł przy murach miasta, jakby nie miał już siły iść dalej. Przypominał sobie wszystkie miejsca, które odwiedził i nagle poczuł, że ta podróż miała sens. Wstał i ruszył do zamku. Na dziedzińcu zobaczył Mikołaja Kopernika.

– Wiedziałem, że wrócisz – powiedział Kopernik spokojnie.

Kot podszedł i otarł się o jego nogę. Już nie uciekał i nie szukał drogi. Był u celu. Następnego dnia wyruszyli razem w drogę powrotną. Nie szli pieszo, dotarli na stację i wsiedli do pociągu. Kot siedział spokojnie przy Koperniku, obserwując przez okno mijane miasta i pola. Podróż wydawała się krótsza niż wszystkie poprzednie. Gdy pociąg zatrzymał się we Fromborku, wysiedli razem. Miasto wyglądało tak samo, jak Stello zapamiętał je na początku swojej samotnej wędrówki. Kot wrócił do domu, a razem z tym zakończyła się jego podróż.



Opowieść kota Urwisa

Nazywam się sir Miau-ster Kosmiczny Pierwszy, chociaż Mikołaj Kopernik uparcie mówi na mnie „Ty Urwisie”. Ale dobrze, niech mu będzie. W końcu to ja jestem kotem, a on tylko odkrywa wszechświat.

Wszystko zaczęło się po mojej drzemce, kiedy to wskoczyłem na jego biurko (bo gdzie indziej?) i... jak zwykle... coś przewróciłem.

– NIEEEE! – krzyknął Kopernik.

Atrament rozlał się po mapie, świeca zgasła, a globus zaczął się... kręcić szybciej niż powinien. Dużo szybciej. Za szybko. Za kosmicznie szybko.

Nagle zrobiło się jasno, potem ciemno, potem jasno-ciemno-jasno, jakby ktoś bawił się światłem.

– Miau? – zapytałem naukowo.

I BUM. Wylądowałem... w lesie.

Ale to nie był zwykły las na Warmii. Drzewa były ogromne, powietrze pachniało jak zupa z błota, a ziemia się trzęsa.

– O nie – mruknąłem. – To nie są dobre wibracje.

TUP! TUP! TUP!

Coś wielkiego nadchodziło. Spojrzałem w górę. DINOZAUR! Ogromny. Zielony. Zębów miał więcej niż ja mam wąsów.

– Miau... dzień dobry? – spróbowałem grzecznie.

Dinozaur spojrzał na mnie jak na... przekąskę. O nie, to był błąd.

Zacząłem uciekać tak szybko jak mogłem. Biegłem przez paprocie, przeskakiwałem kamienie, a dinozaur taranował za mną dosłownie wszystko. Aż w pewnym momencie wpadłem na wystający korzeń... i znów poczułem to dziwne szarpnięcie.

Świat zwinął się jak dywan.

BUM!

Tym razem znalazłem się na dziedzińcu zamku w Malborku. Rycerze w zbrojach ćwiczyli walkę.

– O! Kot! – krzyknął jeden z nich.



– Na pewno szpieg! – powiedział drugi.
Szpieg?! Ja?! Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę. Zanim zdążyłem zaprotestować, jeden z rycerzy podniósł mnie jak worek ziemniaków.
– Weźmy go do zamku. Pan zdecyduje, co z nim dalej! – oznajmił dumnie.
Zostałem... oficjalnym kotem rycerskim.
Nie powiem, miało to plusy. Dostałem kawałek mięsa. Nawet dwa. Ale minus był taki, że kazali mi „polować na smoki”.
– To chyba przesada – mruknąłem.
Na szczęście znów poczułem to znajome SZARP.
– Do widzenia, rycerze! Powodzenia ze smokami! – zamiauczałem i... zniknąłem.
Tym razem wylądowałem nad jeziorem Skanda na Warmii. Było spokojnie. Żaglówki sunęły po wodzie, a ja siedziałem na pomoście.
– W końcu spokój – wyszeptałem.
Po sekundzie pomost zniknął.
Bo byłem... w przyszłości.
Pod moimi łapami pojawiła się szklana podłoga, a obok mnie przejechał robot na kółkach.
– BIP. WYKRYTO KOTA – powiedział.
– Miau. Godność zagrożona – odpowiedziałem.
Robot zrobił mi zdjęcie i pojechał dalej.
„Mam dość tej wycieczki” – pomyślałem.
Chciałem wrócić. Naprawdę. I wtedy zrozumiałem. To wszystko przez ten bałagan na biurku Kopernika. Pomieszałem czas, przestrzeń i... chyba jego notatki też. Czyli klasyka. Musiałem to naprawić. Zamknąłem oczy, skupiłem się (co jest trudne, gdy jest się

kotem) i pomyślałem o jednym miejscu. Frombork. Biurko. Kolana Kopernika. SZARP. BUM. Udało się. Wylądowałem prosto na jego papierach.

– ZNOWU?! – krzyknął. Ale potem spojrzał na mnie uważnie. – Hm... wyglądasz, jakbyś przebiegł kilka epok.

– Bo tak było... – zamruczałem i zwinąłem się w kłębek.

Kopernik westchnął i pogłaskał mnie po głowie.

– Wiesz – powiedział – świat jest bardziej skomplikowany niż się wydaje.

Zamruczałem jeszcze głośniejszym głosem, bo wiedziałem coś, czego on jeszcze nie odkrył.

Świat nie tylko się kręci. On czasem... gubi kota w dinozaurach, rycerzach i robotach.

A ten kot? Zawsze znajdzie drogę do domu. Zwłaszcza jeśli w domu czeka miska z rybą.

Warmiś i jego przygody na Warmii

Cześć, jestem Warmiś, kot Mikołaja Kopernika. Dziś opowiem wam o moich przygodach na Warmii. Moją przygodę rozpocząłem w olsztyńskim zamku kapituły warmińskiej. Pewnej pochmurnej nocy, gdy wszyscy już spali, wymknąłem się poprzeczadzać po korytarzach zamku. Gdy doszedłem do dziedzińca, natknąłem się na Mikołaja Kopernika, który szedł oglądać nocne niebo.

- Co tu robisz, Warmisiu? – spytał mnie Mikołaj Kopernik.
- Wyszedłem się przejść, a co ty tu robisz? – spytałem.
- Wyszedłem pooglądać nocne niebo – odpowiedział Kopernik.
- Czy mógłbym do ciebie dołączyć? – zapytałem niepewnie.
- Oczywiście.

W trakcie oglądania nocnego nieba usnąłem. Przysnił mi się skarb. Nagle zerwałem się na równe nogi.

– Halo, Warmisiu, wstawaj! – krzyknął Kopernik. – Nie będziesz chyba spał na dworze?

– Nie, nie, już wstaję – odpowiedziałem. – Coś mi się przyśniło.

– A co, Warmisiu? – spytał mnie Kopernik.

– To był skarb. Wiesz coś może o jakimś skarbie w pobliżu?

– Przejdźmy się po zamku, to ci opowiem – odparł serdecznie astronom. – Znam jedną legendę o skarbie. Miał być on schowany w lochach gdzieś na Warmii w czasie wojny z Krzyżakami. Niektórzy mówią, że jest pilnowany przez duchy dawnych kanoników.

Słuchałem uważnie, bardzo chciałem znaleźć ten skarb.

Gdy Mikołaj odprowadził mnie do pokoju, nie mogłem spać, rozmyślając o skarbie. Rano udałem się do biblioteki wojewódzkiej w Olsztynie, która mieści się w Starym Ratuszu.

Gdy dotarłem do biblioteki, udałem się do działu z książkami historycznymi. Niestety, nic tam nie znalazłem. Po nieudanych poszukiwaniach książek na ten temat udałem się na spacer do pięknie kwitnącego parku.

W parku było cicho i spokojnie. Ptaki śpiewały tak radośnie, że sam bym do nich z chęcią dołączył. Podczas spaceru, kiedy doszedłem do pomnika Mikołaja Kopernika, zauważyłem karteczkę schowaną za astrolabium. Jednak musiałem stanąć w kolejce, bo turyści robili sobie zdjęcia i pocierali mu nos na szczęście. Gdy nareszcie nadeszła



moja kolej, wziąłem karteczkę. Była ona bardzo zniszczona, lecz udało mi się dostrzec fragment mapy. Po drugiej stronie kartki było napisane: „Od lat w herbie miasta stoję, mym pomnikiem mieszkańców pilnuję”. Od razu wiedziałem, że chodzi o pomnik Świętego Jakuba. Czym prędzej udałem się do pomnika. Po chwili dotarłem, ale nie mogłem znaleźć drugiego fragmentu mapy. Wtedy wdrapałem się na kapelusz, żeby się rozejrzeć. Zobaczyłem pod swoimi łapkami białą karteczkę. Gdy ją podniosłem, zobaczyłem kolejny fragment mapy. Bardzo się ucieszyłem, ponieważ byłem coraz bliżej znalezienia swojego celu.

Niespodziewanie zauważyłem Mikołaja spacerującego po Targu Rybnym. Szybko zeskokczyłem i schowałem się za pomnikiem. Niestety, Mikołaj zauważył mój długi rudy ogon wystający zza pomnika. Słyszałem ciężkie kroki zbliżające się w moją stronę.

- Co tu robisz, mój kocie – zapytał mnie z uśmiechem Mikołaj.
- Ja nic, a ty co tu robisz, Mikołaju? – zagadnąłem, próbując zmienić temat.
- Wyszedłem się przejść. Wiesz, że lubię spacerować – powiedział wesoło.
- Pomyślałem: „No tak, zapomniałem, że codziennie przechadza się po targu”.
- To ja już będę się zbierać! – krzyknąłem nerwowo.

Wtedy pożegnał się ze mną ruchem ręki. Poczułem ulgę, ponieważ Mikołaj nie wiedział, że szukam tego skarbu. Gdy odszedł, poszedłem do parku. Usiadłem na ławce i w spokoju odczytałem zagadkę znajdującą się na fragmencie papieru. Nie mogłem rozczytać pisma na kartce, ponieważ wyglądała na bardzo starą. Udało mi się tylko odczytać „więzienie” i „Wojciech Kętrzyński”. Dużo myślałem, lecz nie mogłem przypomnieć sobie nic o tym nazwisku.

Kiedy już traciłem nadzieję, przypomniało mi się, że gdy byłem małym kociątkiem, Mikołaj czytał mi książkę o Wysokiej Bramie. W książce był fragment, gdzie było napisane, że w Wysokiej Bramie był więziony Wojciech Kętrzyński za przemyt broni w powstaniu styczniowym w 1863 roku.

Pobiegłem szybko do Wysokiej Bramy. Niestety, robiło się ciemno, ale to mi nie przeszkadzało; jestem kotem, więc potrafię widzieć bardzo dobrze w ciemności. Szukałem wszędzie, ale nie było go ani na ziemi, ani między ceglami. Pomyślałem, że przecież wszystko nie może iść po naszej myśli. Powoli się poddawałem. Gdy miałem już wracać, coś kapnęło mi na głowę.

Wtedy spojrzałem do góry i na figurce Matki Bożej była przyczepiona brudna kartka. Prędko wspiałem się i odzepiłem karteczkę. Pobiegłem do zamku. Cicho wszedłem do pokoju. Gdy zapaliłem światło, zauważyłem Mikołaja stojącego przy moim posłaniu.

- Gdzie się szwendasz po nocy! – zawołał zły i zmartwiony Mikołaj.
- Nigdzie – odpowiedziałem szybko.
- Co tam trzymasz – spytał.
- Nic takiego – odparłem, starając się utrzymać dobrą atmosferę.
- Kopernik wyrwał mi kawałek mapy z łapki.
- Skąd to masz? – zwrócił się do mnie.
- Znalazłem – powiedziałem.
- Masz więcej tych kawałków? – dopytywał.
- Niiii... nieee – powiedziałem, jękając się.
- Na pewno? – rzekł, coś podejrzewając.
- Nie wytrzymując presji, w końcu wybuchnąłem:
- No dobra, mam więcej, szukam tego skarbu – wykrzyknąłem szybko.
- Jakiego skarbu? – spytał.
- No tego, o którym mi opowiadałeś – mruknąłem ponuro.
- Ale wiesz, że to tylko legenda – zaśmiał się.
- Serio, to do czego to jest mapa? – spytałem.
- To mapa Fromborka – oznajmił.
- Serio, po co mi mapa Fromborka – jęknąłem.
- Idź już spać i nie szukaj więcej żadnych skarbów – powiedział zmęczony.

Po tych słowach wyszedł. Gdy miałem iść, zauważyłem, że Mikołaj zostawił jakąś kopertę. Nie otwierałem jej, włożyłem do torby i położyłem się spać.

Rano udałem się do gabinetu Mikołaja, ponieważ tego ranka pojechał na dwa tygodnie do pracy we Fromborku. Gdy dotarłem do jego gabinetu, zacząłem szukać jakiś poszlak. Nie wierzyłem Mikołajowi, że to jest mapa jakiegoś miasta. Po chwili otworzyłem trzecią szufladę w biurku i zauważyłem teczkę podpisaną: „Warmiś”.

Otworzyłem ją trzęsącymi łapkami. W środku znalazłem zdjęcia i listy od kocicy o imieniu Warma. Była tylko jedna pocztówka, na której było napisane: „Opiekuj się nim dobrze. Warma. Miasto Frombork ul. Leśna 3”.

Pocztówka upadła na ziemię. Przypomniało mi się, że zawsze, gdy pytałem Mikołaja, czy mam rodzinę, zmieniał temat.

Poszedłem do pokoju, spakowałem torbę i napisałem list pożegnalny do Kopernika. Przypomniało mi się o pocztówce, bo przecież był na niej adres. Spakowałem ją do torby i ruszyłem do miasta. Poszedłem szukać taksówki.

Gdy doszedłem do wolnej taksówki, przypomniało mi się, że jestem kotem. Wpadłem na pomysł, że wejdę z jakimś mieszkańcem, który miał walizkę. Po długim czasie zauważyłem panią, która trzymała walizkę i szła w stronę jednej z taksówek. Szybko pobiegłem za nią. Wślizgnąłem się do bagażnika auta.

Po chwili dojechaliśmy na Dworzec Główny w Olsztynie. Wyszedłem z bagażnika i pobiegłem na peron. Prawie spóźniłem się na pociąg. Schowałem się w łazience. Korzystając z chwili spokoju, otworzyłem kopertę, którą wczoraj wieczorem włożyłem do torby.

W kopercie była mapa, której szukałem.

Nagle usłyszałem, że następną stacją miał być Frombork. Gdy wysiadłem, wyciągnąłem mapę i ruszyłem we wskazaną stronę. Przechodziłem obok takich atrakcji i zabytków, jak: Muzeum Mikołaja Kopernika, Wieża Radziejowskiego i Wzgórze Katedralne.



Mapa doprowadziła mnie do rzeki.

– Co, rzeka? – bardzo się zdziwiłem.

Po chwili zauważyłem kajaki. Od razu pomyślałem, że muszę jednym z nich popłynąć. Podszedłem do stanowiska i skorzystałem z chwili, że wypożyczający pomagał mężczyźnie ubrać kamizelkę. Złapałem za kajak i mocno pociągnąłem, wziąłem wiosła i założyłem kamizelkę, żeby się nie utopić. Gdy doprowadziłem kajak do rzeki, zauważył mnie właściciel kajaka. Na szczęście nie zdążył mnie dogonić, ponieważ szybko wskoczyłem do niego i wypłynąłem na środek rzeki. Słuchałem śpiewu ptaków i myślałem, dokąd mapa mnie doprowadzi.

Po piętnastu minutach zauważyłem, że woda robi się coraz płytsza. Nagle kajak walnął w dno i wyrócił się do góry nogami. Szybko uniosłem torbę nad głowę, żeby nie zmokła. Wypłynąłem spod kajaka i zacząłem płynąć do brzegu.

Od razu sprawdziłem, czy mapa i pocztówka są mokre. Zdjąłem kamizelkę i ruszyłem tam, dokąd mnie prowadziła mapa. Zauważyłem, że miejsce, w którym stoję, na mapie było zaznaczone znakiem X. Naprzeciwko zobaczyłem mały domek. Podszedłem do drzwi i zapukałem. Usłyszałem kroki. Po chwili drzwi otworzyła ruda puchata kocica. Miała taką samą białą plamkę na prawym oku i małe uszy jak ja.

– Spodziewałam się ciebie – powiedziała z uśmiechem kocica.

– Dzień dobry, mapa mnie tu doprowadziła. Czy mógłbym wiedzieć, kto tu mieszka? – spytałem uprzejmie.

– Dzień dobry, jestem Warma – odparła z uśmiechem kocica.

Spojrzałem na pocztówkę i zamarłem. Mapa doprowadziła mnie do moich krewnych.

– Jestem Warmiś, pani krewny.

– Wiem. Wejdz, zaparzę herbatę.

Wszedłem do małego domku, który był bardzo przytulny. W saloniku był mały komin, pluszowa sofa, na ścianach zdjęcia i mnóstwo kwiatów w doniczkach. Kuchnia była niewielka z małym stolikiem.

– Usiądź tutaj – powiedziała, wskazując na krzesło przy stole.

– Dobrze, już siadam – powiedziałem podekscytowany.

Warma podeszła i naląła mi herbaty.

– Mam dla ciebie prezent – odparła szczęśliwa.

– Naprawdę! – krzyknąłem podekscytowany.

Warma dała mi kartkę, na której było napisane: „Brawo, udało ci się odnaleźć skarb i swój nowy dom. Mikołaj Kopernik”.

Mikołaj chciał, żebym poznał swoją rodzinę, więc zrobił dla mnie mapę. Dzisiaj mieszkam ze swoją cicią. Mikołaj czasami nas odwiedza i zabiera na wycieczki po pięknej Warmii.



Urwis, Chudy Stefek i inne koty...

Rozdział I – Melzak

To się wpakowałem.

Ale jakby mogło być inaczej, przecież pogoń za małą myszką to najważniejsza rzecz pod Słońcem, wokół którego kręci się Ziemia. Tak mawiał zawsze mój pan, cokolwiek miał na myśli. A teraz jestem tu, w ciemnym i zimnym lesie, gdzie próżno szukać miseczki mleczka, nie mówiąc już o kawałku słoninki. Ale od początku. Po opuszczeniu murów Wzgórza Katedralnego we Fromborku, w pogoni za tym małym, szarym gryzoniem, straciłem rachubę czasu i zanim się obejrzałem, byłem już w zupełnie nieznanym mi miejscu.

Do licha, co ja narobiłem? Wędrowałem przez dwie nocki, szukając drogi powrotnej. Mój brzuch głośno domagał się jedzenia, a nic nie wskazywało na to, by niebawem nadarzyła się okazja, żeby coś przekąsić. Trzeciego dnia, gdy słońce powoli chyliło się ku zachodowi, a pierwsza gwiazda miała za chwilę pojawić się na bezchmurnym niebie, na horyzoncie dostrzegłem jakieś zabudowania. Pełen nadziei na porządny posiłek zakradłem się pod drzwi jednego z domostw, gdy nagle usłyszałem głos:

– Stój, kto idzie?

Rozejrzałem się wokoło, ale nikogo tu nie było.

– Pytam grzecznie, kto idzie, bo zaraz zrobię się niemiły – oznajmił ten sam ktoś.

– To ja idę, kot Urwis.

– Nie ufam kotom. Czego tu chcesz?

– Z chęcią ci opowiem, tylko powiedz, gdzie jesteś.

– Spójrz do góry.

Gdy podniosłem głowę, moim oczom ukazał się największy, a może raczej najgrubszy gołąb, jakiego kiedykolwiek widziałem. Siedział na pokrytym strzechą dachu z wypiętym ogromnym brzuchem.

– Jestem Chudy Stefek, to znaczy teraz już tylko Stefek, ale kiedyś mnie tak nazywano, tylko szybko roslam i niestety nie wzwyż. No dobra, ale co ty tu robisz?

– Mój pan mówi na mnie Urwis, a jestem tu, ponieważ się zgubiłem i szukam drogi do domu. Czy możesz mi wskazać drogę do Fromborka? Pewnie dużo latasz i znasz wszystkie trasy.

– No z tym lataniem to jest mały problem i myślę, że to wina grawitacji. Jakoś strasznie ciągnie mnie na dół. Ale co do Fromborka, to przyjeżdżał tu pewien człowiek, bar-

dzo mądry i wykształcony. Czasem przebywał na tutejszym zamku kapituły warmińskiej i sprowadzał ludzi na opuszczone ziemie. To dzięki niemu zaludniły się nasze tereny, a pola obrodziły zbożem. I pamiętam jak dziś, że był z Fromborka, a mówili na niego Mikołaj Kopernik.

– To przecież mój pan! Tylko on jest taki mądry, a do tego tak samo się nazywa. Może opowiesz mi o jego pobycie coś więcej?

– No wiesz, mało latam, bo wszystko, co mi potrzebne, mam pod nosem, więc i plotek nie mam od kogo posłuchać. Ale słyszałem, że lubił pić wodę ze źródelka w czarcm lesie, zapach miała nieciekawą, ale podobno brata swojego Andrzeja nią uzdrawiał.

– A jak się nazywa ta miejscowość?

– No Melzak przecież.

Nagle Stefek zerwał się na równe nogi i głośno zawołał:

– Urwis, chyba musimy się schować! Nadchodzi burza! Dość wyraźnie słychać grzmoty.

– Spokojnie, Stefek, to tylko mój brzuch domaga się jedzenia.

– No nie. Gdzie moja gościnność? Chodź za mną, zabiorę cię do szopy. Tam jest i mleko, i kawałek słoninki też się znajdzie.

Po obfitym posiłku, który zafundował mi mój nowy kumpel, położyłem się spać. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak szybko zasnęłem, ale zmęczenie dało znać o sobie i obudziło mnie dopiero pianie koguta. Zaraz potem pojawił się brzuch Stefana, a następnie on we własnej osobie.

– Wstawaj, przyjacielu – powiedział niewyraźnie Stefek, ponieważ dziób miał wypełniony ziarnami pszenicy.

– Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Niestety, na mnie pora. Muszę jak najszybciej odnaleźć dom.

– Nie ma za co. Dawno nikt mnie tu nie odwiedzał. A co do drogi, to musisz iść w tamtą stronę. – Stefek wskazał mi ścieżkę biegnącą obok dużego dębu. – Albo nie. Raczej tam. Koło szopy i w prawo. Tak, to tam.

Mijając szopę, słyszałem jak Stefan jeszcze pod nosem sam próbował siebie przekonać, że wskazał mi właściwą drogę. Nie miało większego sensu wnikać w jego rozważania, więc poszedłem przed siebie. Droga do następnej miejscowości minęła mi szybko, ponieważ udało mi się skorzystać z podwózki. Drogą jechał wóz wyładowany po brzegi workami z żytem. Korzystając z nieuwagi woźnicy, wskoczyłem między ładunek i tak dojechałem do Lidzbarka. A skąd to wiem? Zaraz wam opowiem.

Rozdział II – Lidzbark Warmiński

To musiało boleć. Moje cztery litery bardzo ucierpiały, a młynarz, który przywiózł żyto, miał twardą rękę. Ale czemu pomyślał, że ja chciałem podkraść jego zboże? Nie wiem i nie chcę już o tym myśleć. Najważniejsze, że podróż była krótka i wygodna.

Błąkałem się przez resztę dnia po nieznanym mieście. Nie mając pomysłu, co dalej robić, położyłem się na krótką drzemkę za murkiem pięknego kościoła. Miejsce wydawało się bezpieczne i nic nie wskazywało, aby ktoś mógł mi przeszkodzić w chwili relaksu. Myliłem się. Najpierw coś ugryzło mnie w ogon, a potem w nogę. Jednym susem wskoczyłem na murek i zobaczyłem mojego dręczyciela. Na ziemi stał nastroszony i zdenerwowany szczur.

– Co to ma być?! – wykrzykiwał wzburzony. – Do domu wejść po całym dniu pracy nie można. Urabiam sobie łapy, żeby związać koniec z końcem. W młynie gania mnie młynarz, w piekarni piekarz, w sklepiku sprzedawca, cały czas w pośpiechu, a ten sobie leży i blokuje wejście.

– Przepraszam. Nie zauważyłem, że to wejście do twojego domu. Ale żeby od razu gryźć?

– To ja przepraszam. Sam widzisz, jakie ciężkie jest życie szczura. Wszyscy traktują cię jak wroga, cały dzień walki o przetrwanie, a potem się odreagowuje w domu. Maurycy jestem.

– Urwis – odpowiedziałem i się ukloniłem.

– Ten dalej swoje. Przecież przeprosiłem – oburzył się przybysz.

– Urwis, tak się nazywam.

– A, to rozumiem. Czego tu szukasz? Pierwszy raz cię widzę, a znam wszystkie koty w okolicy.

– Jestem z Fromborka, zgubiłem się i szukam drogi do domu. Mój pan, Mikołaj Kopernik, pewnie się o mnie martwi, a ja już błąkam się piątą dobę.

– Mikołaj Kopernik powiadasz? Przecież to mój kumpel. To znaczy każdy, kto mi pomaga, jest moim kumplem, a on zawsze, wychodząc z kościoła, rzuca mi okruchy chleba koło mojej nory. Dużo o nim słyszałem od kolegów z zamku. Podobno pełnił tam funkcję lekarza, sekretarza i doradcy swojego wuja, biskupa Łukasza Watzenrodego. Zarządzał tutejszymi dobrami kościelnymi i dużo pisał o gwiazdach, ale tego to oni akurat nie rozumieli.

– O rety, to jestem już blisko Fromborka? – zapytałem podekscytowany.

– Niestety, nie wiem. Nie jestem podróżnikiem, a jak widzisz raczej typem domatora. Jedno wiem na pewno. Ty jesteś głodny, a my znajdujemy się w Heilsbergu, czyli Lidzbarku.

Po tej rozmowie Maurycy poczęstował mnie posiłkiem, na który składało się to, co miał zgromadzone w swojej norze. Nie wszystko, co jadłem, było mi znane, jednak w tej sytuacji nie zamierzałem narzekać.

Rozmawialiśmy jeszcze długo. Opowiadałem, czym zajmuje się mój pan i jak wygląda moje życie na zamku. Trochę mi zazdrościł, ale zdecydowanie nie chciałby zamienić swojej niezależności i wolności na luksusowe życie w murach Wzgórza Katedralnego. Natomiast okazało się, że mamy wspólną pasję, ponieważ on też uwielbiał wpatrywać się w nocne niebo i rozprawiać o obrotach sfer niebieskich. Zrobiło się bardzo późno. Powieki stawały się coraz cięższe, a ja wyobrażałem sobie, że leżę na moim legowisku z baraniej skóry.

Rozdział III – Olsztyn

Obudziły mnie dziwne dźwięki, jakby tłum ludzi zmierzał na poranną mszę do kościoła. Tylko, z tego co wiem, jest środek tygodnia, a na mszę już za późno. Otworzyłem oczy i nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Byłem w zupełnie innym miejscu. Wszędzie, gdzie spojrzałem, widać było wysokie zabudowania, drogi były czarne i poruszały się po nich dziwne metalowe wozy i bryczki na miękkich kołach. Nie widać było przed nimi koni czy wołów ciągnących te ogromne konstrukcje. Pomiędzy nimi poruszały się długie na kilkadziesiąt metrów, połączone ze sobą dorożki na metalowych

obręczach i podczepione do sznurków przeprowadzonych nad drogą. Było tego mnóstwo. Ludzie chodzili ubrani w dziwne szaty. Bardzo kolorowe i chyba zbyt ciasne. Na nogach mieli buty, przeważnie całe ze skóry, a w dłoniach prawie każdy trzymał jakieś pudełko i się w nie wpatrywał bez ustanku. Jedyne co mnie zdziwiło to to, że mimo takiej ilości ludzi nikt ze sobą nie rozmawiał, ale potem zdałem sobie sprawę, że to z winy tych pudełek, w które się tak gapią.

– Urwis! Urwis, dawaj do nas!

Nie wiedziałem kto, ale zdecydowanie ktoś mnie wołał. Głos dochodził zza kamienicy, przy której się ocknąłem. Instykt podpowiadał mi „nie idź”, lecz ciekawość zwyciężyła. Pobiegłem za róg budynku i...

„To pech!” – pomyślałem w duchu.

Przede mną stała banda bezpieczeństwa psów, a na jej czele czarny jak smoła, lecz nie większy niż szczer kundel Maurycy. Na widok kota wszystkie nastroszyły sierść i ruszyły w moim kierunku. Jedyne schronienie było rosnące obok drzewo jarzębiny, więc wdrapałem się na nie, wiedząc, że moi oprawcy szybko nie odpuszczą.

– Urwis, szybciej, mamy tu ciekawy okaz! – krzyknął jeden z nich.

W tym momencie na uliczkę wbiegł rudy jak wiewiórka chudy i wysoki pies. Dołączył do grona obserwatorów i razem zaczęli ujadać. Nowy przybysz wydawał się bystrzejszy od reszty i po chwili podszedł bliżej.

– Co tu robisz. Nie wiesz, że ta „dzielnia” należy do nas. Tu nie mają wstępu takie „sierściuchy” jak ty. Wyjazd stąd. Ale już! – odezwał się wrogo.

– Ale przecież sami mnie wołaliście – odpowiedziałem na tyle miło, na ile było mnie stać w obecnej sytuacji.

– My? Ciebie? Chyba żartujesz – roześmiał się mały.

– Wołaliście „Urwis”, a ja tak się nazywam.

– To ja nazywam się Urwis – odezwał się rudy. – Chyba zaszło nieporozumienie.

– Nigdy bym się nie odważył wejść na waszą dzielnicę, gdybym znał panujące tu zasady, ale jestem tu pierwszy raz – próbowałem się wytłumaczyć.

– To skąd jesteś i co cię tu sprowadza? A najlepiej to zejdziesz z tego drzewa i opowiedaj. Obiecuję, że nikt nie zrobi ci krzywdy – zapewnił mnie mój imiennik.

Zaufałem mu i po chwili zszedłem. Reszta psów została nieco z tyłu, a my z Urwisem mogliśmy spokojnie prowadzić rozmowę.

– Wszystko ci opowiem, ale najpierw to ty mi wyjaśnij, gdzie wasze wozy i bryczki mają konie.

– Wozy i bryczki? Mówi się fury, bryki. A konie mają pod maską – odpowiedział zdziwiony.

– Jak to pod maską? Są pochowane pod tym stalowym pancerzem? – spytałem.

– No tak. Co ty zadajesz takie dziwne pytania? Lepiej mów, skąd ty się urwałeś?

– Jestem z Fromborka, zgubiłem się i szukam drogi do domu mojego pana, Mikołaja Kopernika.

– Co ty pleciesz? Przecież on nie żyje od prawie pięciuset lat. Jest u nas wiele symboli, pomników i pamiątek po nim. Dużo mu zawdzięczamy. Zarządzał naszym zamkiem i okolicznymi wsiami. Ponadto obronił nas przed Krzyżakami. Bardzo mądry i wykształcony człowiek. Prowadził badania, a na ścianie krużganku olsztyńskiego zamku sporządził tablicę astronomiczną do wyznaczania równonocy wiosennej i jesiennej. Każdy mieszkaniec Olsztyna go zna. Tylko to już historia, kolego.

– Nie żyje? Olsztyn? – Nagle zakręciło mi się w głowie, zrobiło się ciemno przed oczami i...

Rozdział IV – Powrót

– Wstawaj śpiochu! – krzyknął Maurycy.

Otworzyłem oczy i z ulgą stwierdziłem, że to był tylko sen. Leżałem jeszcze chwilę, żeby się upewnić, czy wróciłem do realnego świata.

– Wstawaj, Urwis! Zaraz odjeżdża twój transport do Fromborka. Podstuchiłem rozmowę młynarza i zaraz wyruszają do portu z mąką. Jak się spóźnisz, to szybko się już taka okazja nie powtórzy.

Razem z Maurycym pobiegłem do młyna. Pamiętając, co spotkało mnie w poprzedniej podróży, tym razem schowałem się głębiej między worki i postanowiłem opuścić pojazd zanim zacznie się rozładunek.

Podróż trwała bardzo długo. Zresztą droga powrotna ze świadomością zbliżania się do domu dłużyła mi się niemiłosiernie. Co chwilę wychylałem pyszczek i sprawdzałem, czy już się zbliżamy. Miałem czas powspominać zawarte przyjaźnie i przygody, które mnie spotkały. Wszystko, czego dowiedziałem się podczas mojej podróży, sprowadzało się do jednego wniosku: że mój pan to jeden z największych uczonych na świecie i pamięć po nim nigdy nie zaginie. Może ja nie będę najpopularniejszym kotem pod słońcem, ale on to Słońce wstrzyma i ruszy całą Ziemię.

Wróciłem cały i zdrowy. Chociaż nie wiem, czy tak długo zostanie, bo od przytulania bolą mnie wszystkie kości, a brzuch od smakołyków mam chyba większy niż Stefek.

Teraz czekam na kolejną podróż, ale tylko z moim panem. Sam już się nigdzie nie wypuszczam. Kto wie, może spotkam gdzieś moich kumpli?









Aleksandra Ajewska

Szkoła Podstawowa nr 3 w Lidzbarku, klasa IV



Kot, który znał sekrety gwiazd

Nazywam się Urwis. Jestem rudy, szybki i zdecydowanie zbyt ciekawski jak na zwykłego kota. Mam zranione ucho po dawnych wyprawach i spojrzenie, które Kopernik nazywa „zbyt ludzkim jak na zwierzę”.

Mieszkam we Fromborku, w wieży Mikołaja Kopernika. To człowiek spokojny, zawsze pochylony nad mapami nieba, szukający w nich odpowiedzi, których nikt inny nie potrafi dostrzec. Przygarnął mnie z Jonkowa, gdy byłem małym kociakiem. Od tamtej chwili wieża stała się moim domem. Aż do dnia, w którym zniknąłem. Przynajmniej tak to wyglądało z jego perspektywy.

Nie było mnie wiele dni. W wieży zrobiło się pusto i cicho, a jego głos odbijał się od kamiennych ścian, kiedy mnie wołał. Warmia jednak nigdy nie jest tylko tym, co widać. Czasem otwiera się inaczej, niczym przestrzeń, w której między miejscami pojawiają się niewidzialne przejścia, dostrzegalne tylko dla tych, którzy potrafią patrzeć uważniej. Ja je widzę i wtedy ruszam.

Pierwszy był Maks, chłopak z szóstej klasy. Był to szczupły, wysoki blondyn. Spodobał mi się jego wisiołek, którym miałem ochotę się pobawić. Spotkałem go we Fromborku, ale nie takim zwyczajnym – raczej lekko przesuniętym, gdzie czas zdawał się płynąć inaczej. Nie przestraszył się mnie. Zamiast tego poszedł za mną, zupełnie naturalnie, jak ktoś, kto od początku wiedział, że powinien. Nie pytał zbyt wiele, ale szybko zaczął zauważać rzeczy, których inni nie widzą. Na początku były to drobiazgi – światło padające inaczej między murami, echo kroków, które nie pasowało do pustych korytarzy. Dopiero później zaczęły się rzeczy dziwniejsze.

W Olsztynie, na dziedzińcu zamku z czerwonej cegły, Maks po raz pierwszy zobaczył coś, czego nie dało się łatwo wytłumaczyć. Nad murami pojawiły się delikatne światła, przypominające odbicia gwiazd, które opadły bliżej ziemi. Nie świeciły jak zwykle latarnie – raczej pulsowały, jakby żyły własnym rytmem. Maks zatrzymał się wtedy i długo nic nie mówił. Dopiero później przyznał, że miał wrażenie, iż patrzy nie tylko na miejsce, lecz także na jego pamięć. Nie rozumiał tego, ale już nie odwracał wzroku.

W Lidzbarku Warmińskim zamek odbijał się w Łynie niczym w lustrze, które nie pokazuje jednej chwili, lecz coś więcej – warstwy czasu. Tam światło zachowywało

się inaczej. Kiedy przechodziliśmy przez dziedziniec, linie cienia i blasku zaczęły układać się w coś przypominającego mapę nieba.

Nie była to jednak mapa, jaką znał Kopernik. To było coś bardziej delikatnego – gwiazdy istniały nie tylko na niebie, lecz otaczały wszystko, a miejsca na ziemi stanowiły ich odbicie. Wtedy Maks zaczął rozumieć, że to, co widzi, nie jest przypadkiem. Warmia odsłania coś ukrytego, ale tylko tym, którzy nie uciekają wzrokiem.

Frombork był końcem podróży, ale nie końcem historii. Gdy wróciłem do wieży, Kopernik był niespokojny. Widziałem to w jego ruchach, w tym, jak przesuwał swoje dokumenty i jak długo zatrzymywał wzrok na pustym miejscu, gdzie zwykle leżałem. Nie zrobił mi wyrzutów. Tylko spojrzął i powiedział cicho, że martwił się bardziej, niż chciał przyznać. Nie odpowiedziałem od razu. Koty nie tłumaczą się w pośpiechu. Dopiero nocą zapytał, gdzie byłem. Odpowiedziałem krótko, bardziej do siebie niż do niego, że podążałem za śladami, których on jeszcze nie dostrzega. Nie zrozumiał. Maks już częściowo tak.

Najdziwniejsze wydarzyło się dopiero później, kiedy wszyscy spali. W wieży pojawiło się światło – nie świecy ani księżyca. Spływało z okna i układało się w mapę nieba, ale inną niż wszystkie znane Kopernikowi. Tym razem jednak nie była już obca. Przypominała kontynuację tego, co widziałem wcześniej z Maksem w czasie podróży – wszystkie miejsca, przez które przeszliśmy, układały się we fragmenty jednej większej całości. Kopernik patrzył na nią długo w milczeniu, jak ktoś, kto po raz pierwszy nie tylko liczy gwiazdy, ale próbuje zrozumieć, co one myślą.

Kiedy wróciłem na swoje miejsce w wieży, wiedziałem jedno. Sekret gwiazd nie objawił się w jednym momencie. Pojawiał się po kawałku – w Olsztynie, w Lidzbarku Warmińskim, w spojrzeniu Maksa i w ciszy między krokami.

Jeśli ktoś kiedyś ponownie zapyta, gdzie byłem... powiem tylko jedno:

– Byłem tam, gdzie Warmia zaczyna mówić światłem.

Urwis i podróż do przyszłości

Kot o imieniu Urwis przechadzał się ulicami Fromborka jak co dzień rano, gdy nagle zobaczył niebieskie światło wydobywające się z okna starej kamienicy. Kot, zaciekawiony zjawiskiem, wdrapał się po rynnie na parapet i wskoczył do środka. Gdy wszedł, jego oczom ukazało się wielkie pudło. Nie wiedząc, co to jest, udał się do starszego pana w goglach ochronnych i zapytał:

– Przepraszam, co jest w tym pudle?

– To nie jest zwykłe pudło, to jest wehikuł czasu – odpowiedział staruszek, po czym udał się do sypialni.

Urwis z zaciekawieniem podszedł do wehikułu. Nagle maszyna włączyła się, zassała kota do środka i przeniosła go do roku 1971. Zwierzak nie wiedział, co się dzieje. Udał się do kawiarni, w której pracował kolega Mikołaja Kopernika. Wszedł jak zwykle od strony zaplecza. Ponieważ w kuchni nikogo nie było, dumnym krokiem wszedł na salę kawiarni i zobaczył siedzących ludzi przy jednym stoliku. Wszedł pod niego i przysłuchiwał się rozmowie.

– Musimy znaleźć ten skarb – mówił mężczyzna, do którego zwracano się Pan Samochodzik.

– Tak jest!!! – odpowiedziały chórem dzieci.

Jedno z nich dodało:

– Szkoda, że Mikołaj Kopernik nie żyje, on by dużo wiedział na ten temat.

Serce kota przełamało się na pół. Jego właściciel nie żył. Wyszedł na zewnątrz, usiadł przy drodze i zapłakał. Po krótkim namyśle postanowił, że pomoże grupie z kawiarni w odnalezieniu skarbu, bo przecież był on kotem Mikołaja Kopernika.

Urwis powędrował za młodymi harcerzami i ich opiekunem. Opowiedział im, kim jest i jak się tutaj znalazł. Od razu przyjęli go w swoje szeregi. Przedstawiali się po kolei:

– Jestem... Tomasz, zwany Panem Samochodzikiem, dowódca całej tej „armii” – powiedział mężczyzna w średnim wieku z okrągłymi okularami na nosie.

– A ja jestem Sokole Oko – przedstawił się chłopak z bujną czupryną i piegami na twarzy.

– Ja nazywam się Wiewióra – mówił ciemnowłosey, niski, ale sprytny chłopak.

– Ja jestem Wilhelm Tell, a w zasadzie to moja ksywka – odpowiedział ostatni.

Pan Samochodzik zarządził rekonesans w zamku, bo podejrzewali, że gdzieś tam znajdował się skarb. Oprowadziłem moich nowych przyjaciół po zamku, pokazałem im kilka miejsc, w których mógłby być ukryty ten skarb. Pan Tomasz przyglądał się starym murom w komnacie Kopernika i zobaczył kilka wystających cegieł. Zawołał Sokole Oko, aby przyjrzał się tym cegłom. Chłopak od razu zauważył, że wypustki w murze układają się w kształt krzyża. Pan Tomasz zarządził eksplorację zamkowej kaplicy. Kot zaprowadził swoją drużynę do świątyni. Wszyscy z ekscytacją poszukiwali jakiegoś znaku. Po piętnastu minutach poszukiwań niczego nie znaleźli.

– Panie Tomaszu, to nie ma sensu, jesteśmy w zamku od dwóch godzin i niczego nie ustaliliśmy – narzekał Wiewióra.

– Nie byłbym taki pewien, że niczego. Wiemy, że chodzi o jakieś miejsce święte – odpowiedział Pan Samochodzik.

Słyszając te słowa, Urwisowi przypomniało się, że Mikołaj lubił chodzić na cmentarz i modlić się do swojej zmarłej matki. Powiedział o tym fakcie swojej grupie, po czym Pan Samochodzik zarządził, że pojedą na cmentarz. Z racji, że było już późno, ustalili, że pojedą tam jutro o dziewiątej rano.

Gdy dzieci wraz z opiekunem opuściły zamek, kot położył się na łóżku Mikołaja Kopernika i rozmyślał o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Najbardziej zastanawiało go, czy będzie mógł wrócić do swojego opiekuna. Tak myśląc, Urwis zasnął.

Następnego dnia obudziło go burczenie w brzuchu. Wstał, rozciągnął się i głośno zamiauczał. Poszedł do zamkowej kuchni, w której właśnie przygotowywano śniadanie dla gości hotelowych. Jeden z kucharzy rzucił mu kawałek szynki i podsunął pod nos miseczkę z mlekiem. Kot oblizał się i poszedł w stronę cmentarza, gdzie był umówiony z resztą drużyny. Po obejściu kilka razy całej nekropolii, nie mogli znaleźć grobu rodzicielki Mikołaja Kopernika. Nagle kot przypomniał sobie, że ciało mamy Mikołaja pochowano w bazylice św. Andrzeja, a Kopernik chodził na cmentarz zrywać kwiaty na grób mamy.

Udali się więc szybko do bazyliki. Wchodząc, od razu zobaczyli na jednej ze ścian taki sam krzyż jak w pokoju astronoma. Podeszli do ściany, wybadali podłogę i ścianę, ale nic nie znaleźli. Nagle Sokole Oko zauważył nad krzyżem wnękę w suficie. Wiewióra od razu wskoczył po cegiełkach na sam szczyt krzyża i włożył rękę w szczelinę, a wyciągając ją, zahaczył o małą żelazną skrzynię. Zrzucił ją na dół do pana Tomasza, ten poczekał, aż chłopak zejdzie, i ich oczom ukazały się stare listy od mamy do Mikołaja. Kot powiedział im, że to były najcenniejsze rzeczy Kopernika, traktował je jak największy skarb. Wszyscy trochę się zawiedli, bo liczyli na kosztowności, ale zrozumieli wielkiego astronoma.

Pan Tomasz zabrał listy do muzeum w Warszawie, harcerze wrócili na obóz, a kot z powrotem do roku 1510. Podeszedł do Kopernika i położył mu się na kolanach. Uśmiechając się pod wąsem i pomrukując, zasnął. Wiedział, że dokonania jego przyjaciela i opiekuna zostaną docenione i na zawsze zapisane w dziejach ludzkości.

Berenika Brzuskiewicz-Lidtko

Szkoła Podstawowa nr 3 w Iławie, klasa IV

WYRÓŻNIENIE
Ilustracja



Strażnik nieba z fromborskiej wieży

W starej, kamiennej wieży we Fromborku mieszkał niezwykle kot o imieniu Urwis. Jego właścicielem był sam Mikołaj Kopernik, który każdej nocy wspinał się na szczyt wieży, aby obserwować niebo. Urwis, jak zawsze towarzyszył swojemu panu. Siadał cicho obok niego, zawijał ogon wokół łap i wpatrywał się w gwiazdy, jakby rozumiał ich sekrety.

Noce na Warmii były zazwyczaj spokojne i pełne magii. Niebo lśniło tysiącami światła, a wiatr delikatnie poruszał koronami drzew. Czasami ciszę przecinał szum jeziora, które odbijało gwiazdy niczym drugie, ukryte niebo.

Pewnej chłodnej nocy wydarzyło się coś niezwykłego. Kiedy Mikołaj Kopernik pochylał się nad lunetą, przez niebo przemknęła jasna smuga, która zniknęła nad linią ciemnego lasu. Tym razem była jednak inna – cicha i krótka, jakby ktoś zgasił jej blask. Urwis nastawił uszu, a jego oczy zabłysły niepokojem.

Następnego dnia nie potrafił już usiedzieć w miejscu. Wymknął się cichutko z wieży, zbiegł po kamiennych schodach i ruszył przed siebie – przez ulice Fromborka, dalej, aż do miejsca, gdzie kończył się świat ludzi, a zaczynała cisza natury.

Minął targ, gdzie ludzie nawoływali i targowali się, ale on nie zwracał na nich uwagi. Ciągnęło go coś więcej – tajemnica, którą dostrzegł tylko on. Dotarł nad jezioro o zmierzchu.

Woda była spokojna i gładka jak lustro. Na jej powierzchni unosiły się liście i lilie, a na niebie powoli zapalały się pierwsze gwiazdy. Urwis wskoczył na kamień przy brzegu i spojrzał w dół.

Wtedy ją zobaczył. Małą, złotą gwiazdę, drżącą tuż nad taflą wody. Migotała słabo, jakby była zmęczona.

– Zgubiłam drogę... – wyszeptwała.

Urwis nie uciekł, usiadł spokojnie i spojrzał w górę. Nad nim rozciągało się znajome niebo. To samo, które obserwował każdej nocy u boku swojego pana. Przypomnił sobie noce na wieży: wskazywane kierunki, cierpliwe tłumaczenia, a także powtarzane w nieskończoność opowieści o ruchu gwiazd i planet. I choć był tylko kotem, wszystko rozumiał. Delikatnie trącił gwiazdę łapką i spojrzał w stronę nieba. Jego oczy odbijały światło konstelacji, a spokojne mruczenie niesło się nad wodą jak obietnica.

Gwiazda zadrżała. Najpierw niepewnie, potem coraz mocniej. Unosiła się powoli, aż nagle rozbłysła. Światło odbiło się w jeziorze, w drzewach, a także w oczach kota. A potem – jakby odzyskała odwagę – wystrzeliła ku niebu, zostawiając za sobą długi, jasny ślad.

Tej samej nocy, wysoko na wieży, Mikołaj Kopernik uniósł wzrok znad lunety.

– Kometa... – wyszeptał.

Jednak nie była to zwyczajna kometa. Jej tor był inny, jakby ktoś pomógł jej odnaleźć właściwą drogę. Uczony długo patrzył w niebo, a potem powoli, jakby z nową pewnością, wrócił do swoich zapisków.

Urwis wrócił do domu dopiero nad ranem. Wskoczył na mur i usiadł obok swojego pana. Milczał, jak zawsze, tylko jego futro zdawało się delikatnie połyskiwać, jakby zatrzymało w sobie odrobinę gwiazdnego światła.

Mikołaj Kopernik spojrzał na niego uważnie.

– Wiesz? – powiedział cicho. – Czasem, żeby zrozumieć niebo, nie wystarczy patrzeć. Trzeba jeszcze uwierzyć.

Urwis zamruczał.

W tym momencie wydarzyło się coś, czego uczony nie potrafił zapisać w żadnym swoim dziele. Na niebie, dokładnie tam, gdzie zniknęła kometa, jedna z gwiazd rozbłysła mocniej niż inne. Na krótką chwilę, prawie niezauważalnie, drgnęła, jakby odpowiedziała. Mikołaj zamarł. Zrozumiał, że istnieją rzeczy, których nie da się ująć w liczbach ani zamknąć w schematach czy wzorach. Pojął, że wszechświat nie jest tylko układem ruchów, lecz także opowieścią – pełną zagubień i powrotów.

Spojrzał na kota.

– Może to ty jesteś moim najlepszym nauczycielem – szepnął.

Urwis przyklnął oczy, ale tym razem nie wyglądał już jak zwykły kot. Wyglądał jak strażnik tajemnicy.

Od tamtej pory Mikołaj Kopernik nie tylko obserwował niebo, on je rozumiał inaczej. A Urwis? Urwis nadal był łobuziakiem. Nadal znikał nocami, chodził własnymi ścieżkami i nie słuchał nikogo. Jednak gdy czasem na niebie pojawiała się zagubiona gwiazda albo zbłąkana kometa, zawsze wracała na swoje miejsce. I tylko jeden kot wiedział dlaczego. Bo są tajemnice, które nie należą do ludzi. I są urwisy, które pilnują, żeby świat nigdy nie zgubił swojej drogi.

Laura Rzymowska

Szkoła Podstawowa nr 2 w Lidzbarku, klasa VI







Antoni Bucoń

Szkoła Podstawowa nr 4 w Ornece, klasa VI

Jestem Urwis – poznajcie moją wędrówkę...

Jestem Urwis – takie oto imię kota. Mam wspaniałego właściciela, przyjaciela i uczonego astronoma, z włosami do ramion i nosem trochę jak Pinokio.

Jestem nadzwyczajnym kotem, który może przemieszczać się w czasie: w przyszłość, przeszłość, ale też być tu i teraz. W dodatku mogę się teleportować jak Enderman z Minecrafta albo Dżin z Aladyna. Wymyśliłem więc sobie dziś, że podążę szlakiem wędrówki mojego astronomicznego kompana. Chyba te kilka dni mój pan beze mnie wytrzyma?

Póki co jestem we Fromborku, gdzie mieszkamy razem w pałacu biskupim. Często wybieramy się na wieżę widokową tuż obok, by podziwiać piękną panoramę miasteczka i Zalewu Wiślanego. Nie wspomnę już o wyprawach do planetarium w przyziemiu dzwonnicy, gdzie oglądaliśmy niebo i drogę Słońca, planet oraz gwiazd. Uff... aż mi się w kocim łebku od tego wszystkiego zakręciło...

Mój pan zabiera mnie zawsze na swoje obserwacje. Gołym okiem widzi na niebie to, czego ja oczywiście nie dostrzegam. To właśnie on odkrył, że Ziemia krąży wokół Słońca, a nie na odwrót. Chyba to, że stał na wzgórzu, mu w tym pomogło, hi... hi...

Oj, ten Frombork... Piękne miasteczko z katedrą, wieżą, a w przyszłości z powstałym tu muzeum nazwanym jego nazwiskiem. Myślę, że to najważniejsze miejsce, gdzie zrodziło się nowe spojrzenie na świat.

Ale dosyć wspominek i siedzenia na kocim zadku... Czas wyruszyć w drogę. Biegnę... Jestem w Pieniężnie. Wśród zieleni na uboczu miasteczka widzę coś na kształt kościoła. Po cichutku skradam się do środka, słyszę głosy, a moim oczom ukazują się postacie, chyba też różnej narodowości. Mamy tu i czarnoskórych, i mówiących w różnych językach, ale wszyscy tak samo ubrani. W czarne długie szaty. Już wiem! To księża werbiści, tak jest napisane na tabliczce. Wchodzę dalej... a tu Afryka, Azja i Ameryka w jednym. Aż mi dech zaparło! Maski różnych plemion, figurki religijne, rzeźby, rękodzieło, stroje, ozdoby, zdjęcia i pamiątki. Wyobraźnia zaczyna płatać mi figle... Ile tu się działo? Jak ciężka, ale interesująca jest praca misjonarzy. Poszedłem dalej. To miejsce ma klimat. Słysząc piękną modlitwę, a otoczenie to sama natura. Drzewa, zieleń, z dala da się słyszeć kumkanie żab w pobliskim stawie. Z wielką chęcią bym tu został na dłużej, ale wędrówka zwywa.

Biegnę Doliną Walszy, gdzie dzika przyroda cieszy moje oczy. Mijam Cieszęta, Henrykowo i docieram do miasta... czego??? Smoka! Co to ma być? Smok?! Zaczynam się bać! Moja sierść i ogon są łatwopalne! Poszukam więc bezpiecznej drogi. Włazę w podziemie tutejszego ratusza, aby w razie czego nie spotkać się z tym potworem, i zaczynam węszyć, by znaleźć jakieś wyjście, ale niestety nie udaje mi się. Muszę się wycofać i wyjść na powierzchnię. Oto jestem w centrum miasta Orneta, pomiędzy za-
bytkowym, gotyckim kościołem a ratuszem, otoczonym starymi kamienicami z filarami przypominającymi krakowskie sukienice. Idę dalej... O, matko! Moim oczom ukazuje się smok! Muszę brać łapy za pas i zmykać stąd... Ale chwila. To przecież tylko fontanna w kształcie smoka przy pobliskiej poczcie. Jak łatwo dałem się nabrać. He... he... Przemieszczam się dalej, mijam stary dworzec PKP, dawniej dudniący życiem, a dziś trochę zapomniany. Biegnę szlakiem kolejowym, a w przyszłości ścieżką rowerową. Jest mi tak błogo... Cisza, spokój, zapach... Bach!!! Wpadam na balot siana. No cóż... Coś mi mówi, że czas poleżeć na słoneczku.

Po kilku godzinach jestem w Lidzbarku Warmińskim, gdzie mogę przenieść się w czasie i zregenerować siły w tutejszych Termach Warmińskich i łąkach solankowych. Od razu jakoś na gardelku mi się dobrze zrobiło, hi... hi..., i mięśnie lepiej zaczęły pracować po pływaniu w basenie.

Nie dziwię się, że to miasteczko przez czterysta lat było stolicą Warmii. Ma swój urok i klimat. Można też dobrze zjeść (udało mi się podprowadzić trochę pysznego jedzenia w zasobnym Hotelu Krasickim, dawniej przedzamczu zamku biskupów warmińskich). Mój pan miał nosa do cudownych miejsc, tego nie mogę mu zarzucić.

Mój Mikołaj, człowiek o dobrym sercu, stworzył mi wspaniały dom. Czas najwyższy, by do niego wrócić. Może nie zdążył za mną zatęsknić. Używam więc swojej magicznej mocy i teleportuję się ekspresowo do Fromborka. Zaglądam do pokoju mojego pana, a tam siedzi młody chłopak o imieniu Antek (tak wywnioskowałem z ich rozmowy). Pokazuje zdjęcia, na których jestem ja!!! Twierdzi, że widział mnie w Orniecie, gdzie mieszka. Wie też z ogłoszenia na drzewie, że zaginałem i chciał po prostu pomóc. No nic... ukradkiem chcę przedostać się do swojego kojca. Zrozumiałem, jak bardzo zraniłem swojego przyjaciela. Tak bardzo się o mnie martwił i tęsknił. A ja teraz czuję się, jak prawdziwy URWIS!!! Mam ogromne wyrzuty sumienia, poprzeplatane jednak wspaniałymi wspomnieniami z wędrowki po szlaku mojego pana. Nie udaje mi się jednak przemknąć niepostrzeżenie. Ze spuszczonego łebkiem ocieram się o jego nogę, by okazać mu miłość.

– Przepraszam cię, Mikołaju... Chciałem tylko poznać twoją życiową ścieżkę, a wędrując, po prostu zagubiłem się w czasie...

Pan bierze mnie na ręce i przytula mocno. Zza drzwi wychodzi Antek. Podchodzi do mnie i głaszcze po rudej sierści...

„Fajny z niego chłopak, taki rezolutny” – myślę sobie i mruczę cicho.

Z tych wrażeń zrobiłem się bardzo senny. Zwijam się w kłębek i zasypiam na moim ciepłym pościeli.

Ta wędrowka, oprócz tego, że poznałem wiele miejsc na Warmii, wiele mnie też nauczyła. Zrozumiałem, czym jest prawdziwa przyjaźń. Nie chcę być więcej samolubnym kotem urwisem, który nie myśli o konsekwencjach swoich czynów... I nigdy więcej nie zostawię już swojego pana.



Urwis i tajemnica wiosennej Warmii

Dawno temu, a może jednak nie tak dawno, żył sobie niezwykły kot, Urwis, wraz ze swoim równie niezwykłym właścicielem – Mikołajem Kopernikiem. Tak właśnie... Urwis. Jak samo imię wskazuje, nie był zwyczajnym kotem, jakich spotkać można wiele. Był jedyny w swoim rodzaju, niesamowity, wyjątkowy. Przez swoją ciekawską naturę nieraz przysporzył swojemu panu niemałych kłopotów, wplątując się w psotne przygody, zmuszając go do cierpliwego rozwiązywania niesfornych, kocich trudności, a jednocześnie wywołując uśmiech na jego twarzy.

Urwis zachwycał nie tylko swoją mądrością i bystrością kociego umysłu. Jego futro miało barwę głębokiej, nocnej czerni, lecz gdy padało na nie światło, można było dostrzec delikatne, srebrzyste refleksy. Wyglądały zupełnie tak, jakby ktoś rozsypał po nim gwiazdy. Gdy poruszał się cicho po pięknym, tajemniczym domu, zdawało się, że sunie niczym cień – lekki, niezauważalny, niemal bezszelestny, jakby nie do końca należał do świata współczesnych mu ludzi.

Jego oczy były złociste, mądre i przenikliwe, zawsze czujne, a przy tym pełne niezwykłej troski, przyjaźni i czułości. W ich głębi można było dostrzec coś więcej niż zwykłą ciekawość. Można było odnieść wrażenie, że Urwis rozumiał tajemnice, które dla innych pozostawały niepojęte. Kiedy patrzył na człowieka, miał w sobie spokój, skupienie i uważność, które przypominały spojrzenie uczonego pochylonego nad ważnym odkryciem.

Uwielbiał przesiadywać na parapecie i obserwować pracę swojego właściciela, Mikołaja Kopernika, która była równie ciekawa, jak widok ze Wzgórza Katedralnego we Fromborku. Ich mieszkanie nie było luksusowe ani nowoczesne, swoim wyglądem bardziej przypominało pracownię uczonego i urzędnika niż dom słynnego astronoma. Większość jego warsztatu naukowego stanowiły proste narzędzia i własne obliczenia, a nie skomplikowane urządzenia. I chociaż Mikołaj nie miał teleskopu, bo wynaleziono go wiele, wiele lat później, korzystał z innych prostych i sprytnych narzędzi. Urwis uwielbiał tam przebywać i obserwować, jak jego pan korzysta z kwadranta, trójkąta paralaktycznego, astrolabium czy sfery armilarnej. Dzięki temu sam uczył się precyzji i cierpliwości.

Trzeba zaznaczyć, że właśnie tu, w towarzystwie swojego ukochanego kota, warmiński kanonik stworzył swoje przełomowe dzieło *De revolutionibus*, w którym udowodnił, że Ziemia krąży wokół Słońca.

Każdego wieczora, gdy niebo zaczynało ciemnieć, a na jego tle pojawiały się pierwsze błyszczące jak diamenty gwiazdy, Urwis wędrował na Wieżę Kopernika. Wtedy jego sylwetka stapiała się z nocą, a srebrzyste refleksy na futrze zdawały się odpowiadać migotaniu odległych światła na niebie. Czasem delikatnie, leniwie poruszał ogonem, jakby śledził niewidzialne linie łączące gwiazdy w tajemnicze wzory.

Niekiedy można było odnieść wrażenie, że Urwis nie tylko patrzy w niebo, lecz naprawdę je rozumie – że dostrzega w nim ład i porządek, którego inni nie widzą. Siedząc nieruchomo godzinami, wyglądał tak, jakby prowadził własne, ciche obserwacje. Zupełnie jak jego właściciel, tylko bez ksiąg i przyrządów. I choć był tylko kotem, w jego zachowaniu było coś niezwykle poważnego, niemal dostojnego, jakby był strażnikiem sekretów zapisanych w gwiazdach. Czasem jednak jego uwagę przyciągało coś innego – nie wszechświat, nie niebo, nie gwiazdy, lecz świat poza horyzontem, jakby wołał go ku kolejnej nowej, ekscytującej i nieznannej przygodzie.

I może właśnie dlatego tamtego słonecznego dnia Urwis postanowił ruszyć przed siebie. Żwawo zeskoczył z parapetu, przemknął przez uchylone drzwi i zniknął w labiryncie uliczek pięknego Fromborka. Dokąd zmierzał? Tego jeszcze nie wiedział, ale czuł, że świat jest znacznie większy niż ich spokojny dom na wzgórzu. Przeczynał też, że gdzieś tam czekają na niego niezwykle przygody – miejsca, zabytki, stare mury i historie zapisane w kamieniu.

Pierwszego dnia swojej niespodziewanej podróży Urwis wybrał się do pewnego dużego miasta. Leżało ono w północnej części Pojezierza Olsztyńskiego i było nazywane Lidzbarkiem Warmińskim. Aby dostać się tam z Fromborka, kot musiał pokonać długą, niełatwą i czasem niebezpieczną drogę. Ale zacznijmy od początku. Najpierw przemknął cicho przez znajome uliczki miasteczka, mijając kamienne domy, chatki i wysokie mury katedralne, które doskonale znał, niemal na pamięć. Wczesnym rankiem wszystko było jeszcze takie spokojne. Tylko skrzeczące mewy krążyły nad Zalewem Wiślanym, a powietrze pachniało wodą i solą.

Urwis ruszył dalej, na południe, podążając wzdłuż polnych dróg i leśnych ścieżek. Czasem przemykał między wysokimi trawami, czasem wspinał się na wielkie drzewa, by lepiej rozejrzeć się po okolicy. Mijał małe wsie, w których ludzie dopiero zaczynali dzień, a z kominów unosił się dym. Na podwórkach piał koguty i szczekały psy, które na szczęście były zbyt zajęte, by zwrócić uwagę na nieznanego wędrowca.

Najtrudniejszym odcinkiem była przeprawa przez piękną, lecz rwącą rzekę, Łynę. Bystry kot długo obserwował nurt, aż w końcu znalazł powalony przez wicher konar, który posłużył mu za most. Ostrożnie, krok po kroku, łapa za łapą, przeszedł na drugą stronę, balansując z gracją, jaką potrafią zachować tylko koty. Dalej droga prowadziła przez bardzo gęste lasy Warmii – pachnące żywicą, pełne śpiewu ptaków, odgłosów zwierząt i szelestu liści.

Po wielu godzinach wyczerpującej wędrówki, gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, na horyzoncie pojawiły się potężne mury i wieże. Miejscowość, którą ujrzał, wyglądała imponująco. Jeszcze nie wiedział, jak ona się nazywa. Ale to, co ujrzał przed swoimi oczyma, zrobiło na nim ogromne wrażenie. Miasto było otoczone błękitną, lśniąca, czystą rzeką, z wielkim zamkiem górującym nad okolicą. W świetle zachodzą-

cego słońca kamienne budowle miały ciepły, złocisty odcień, a brukowane uliczki zdawały się skrywać wiele dawnych historii. Gdy kot wszedł do miasta, jego złociste oczy błysnęły z zaciekawienia. Zdawało się, że kiedyś słuchał już opowieści swojego pana o tym cudownym miejscu.

W oddali Urwis zauważył starszego mężczyznę, który wyglądał na takiego, co wiele historii w życiu już słyszał i wiele w swoim życiu widział. Postanowił chwilę z nim pogawędzić. Wskoczył na ławkę obok dziadka o siwych włosach i pogodnym spojrzeniu. Staruszek, zamiast się zdziwić, uśmiechnął się lekko i powiedział:

– Witaj, nieznany wędrowcze – rzekł spokojnie, głaszcząc kota po grzbiecie. – Rzadko widuje się tutaj koty o tak byстрыm i mądrym spojrzeniu. Chyba nie jesteś stąd?

– To prawda – odparł Urwis, prostując się dumnie. – Nie jestem takim zwykłym kotem. Przybyłem tutaj z Fromborka. Nie wiem, co to za miejsce, ale wydaje mi się, że musi być w jakiś sposób związane z moim właścicielem. Mam takie przeczucie – powiedział kot w zamyśleniu.

– Hmm. A kimże jest twój właściciel? – zapytał mężczyzna.

– Moim panem jest Mikołaj Kopernik.

– Ach, Kopernik... Mikołaj... – rzekł staruszek z nutą tęsknoty w głosie. Po czym uśmiechnął się życzliwie i dodał – To miasto dobrze go pamięta. Widzisz, młodzieńcze..., to znaczy kocie – poprawił się. – Lidzbark Warmiński nie bez powodu jest tak ważny.

– Tak myślałem – odparł kot. – Czy mógłbyś powiedzieć mi coś więcej? – poprosił Urwis.

– Oczywiście – z radością odparł rozmówca. – Lidzbark Warmiński był kiedyś siedzibą biskupstwa oraz centrum administracyjnym, gospodarczym i kulturalnym regionu. To tutaj podejmowano ważne decyzje, zarządzano okolicą, rozwijała się kultura i handel. Można powiedzieć, że było sercem całej naszej przepięknej Warmii. Te wszystkie kamienie, mury i ciche dziedzińce wciąż pamiętają jeszcze każdy krok Kopernika.

– Ach, to wspaniałe, co mówisz – zachwycił się Urwis. – Proszę, opowiedz więcej. Czyli mój pan tutaj bywał? Czym się zajmował?

– Och, tak. Bywał? Spędził tu część swojego życia. Miał bardzo ważną rolę, pracował jako sekretarz i lekarz swojego wuja, biskupa warmińskiego. Właśnie w tym lidzbarskim zamku zajmował się nie tylko obowiązkami, lecz także swoimi obserwacjami i przemyśleniami o wszechświecie. Można więc powiedzieć, że ty podążałeś śladami swojego pana, choć być może sam jeszcze nie zdawałeś sobie z tego sprawy – zaśmiał się mężczyzna.

– Na to wygląda... – odparł kot, kręcąc ogonem. Nakręcił swój wąs i z zaciekawieniem zapytał:

– A co się tu dzieje teraz? Wszędzie tyle ludzi i ozdób. Każdy gdzieś pędzi.

– Urwisie, trafiłeś na wyjątkowy czas. Jest wiosna. W tym czasie odbywa się jedno z najważniejszych świąt w Polsce i jest to Wielkanoc.

– Wielkanoc? – powiedział niepewnie Urwis, przekrzywiając głowę. – A co to właściwie znaczy?

– To święto, które przypomina o zmartwychwstaniu Jezusa. Jest kilka ważnych dni wielkanocnych. Ludzie wierzą, że Jezus po śmierci powrócił do życia, dając nadzieję innym – wyjaśnił staruszek spokojnie.

– To brzmi bardzo poważnie – powiedział kot.

– I takie właśnie jest – odparł starzec. – Obchody tych świąt trwają kilka dni. Są przygotowania, modlitwy, a potem radość i wielkie świętowanie. Każdy dzień ma swoje znaczenie.

Urwis szybko poruszył ogonem, wyraźnie zainteresowany i zapytał:

– Czyli to czas... początku czegoś nowego?

Staruszek spojrział na niego bardzo uważnie, po czym powiedział:

– Dokładnie tak. Nowego życia, nadziei i zmian. Jesteś bardzo mądrym kotem. Twój pan ma szczęście, że cię ma.

Kot spojrział w stronę zamku, którego mury lśniły w wiosennym słońcu.

– W takim razie dobrze trafiłem – mruknął cicho. – Moja podróż dopiero się zaczyna.

Staruszek uśmiechnął się lekko i odparł z dobrodusznym uśmiechem:

– W takim razie, Urwisie, niech będzie pełna dobrych odkryć.

A kot, z błyskiem w złocistych oczach, poczuł, że to miasto rzeczywiście było idealnym miejscem na przystanek w jego niezwyklej wędrówce. Postanowił nie marnować ani chwili i ruszył brukowaną uliczką w stronę rynku, serca Lidzbarka Warmińskiego, który w okresie wielkanocnym tętnił życiem.

Urwis z ogromnym zaciekawieniem przemykał lidzbarskimi uliczkami i z uwagą słuchał opowieści mieszkańców o Wielkanocy. Wiosna była tu w pełni – drzewa pokrywały się świeżą zielenią, a w licznych przydomowych ogródkach rozkwitały pierwsze kwiaty: hiacynty, krokusy, żonkile, tulipany. Powietrze było rześkie, pachniało wilgotną ziemią oraz dymem z kominów. Kot obserwował domy, w których od świtu krzątały się gospodynie przygotowujące świąteczne potrawy.

Idąc dalej, na krótką chwilę przystanął przy jednym z mostków nad rzeką. Woda płynęła spokojnie, odbijając w tafli błękit nieba i powoli sunące chmury. Urwis przypomniał sobie słowa starszego mężczyzny o dniach wielkanocnych i próbował je sobie poukładać w głowie. Każdy z nich miał swoje znaczenie, własną historię i był szczególnie ważny dla katolików mieszkających na warmińskich ziemiach.

Dowiedział się, że Niedziela Palmowa rozpoczyna Wielki Tydzień – czas ciszy przygotowań. Wyobraził sobie ludzi idących do kościoła z kolorowymi palmami, które wyglądały jak małe bukiety wiosny. Potem nadchodziła Wielka Środa, zwana na Warmii Krzywą Środą, pełna dawnych zwyczajów i młodzieńczych zabaw.

Dalej był Wielki Czwartek – dzień szczególny i niezwykły, który był związany z ważnymi wydarzeniami w Wieczerniku, gdzie Jezus ustanowił sakrament Eucharystii. Urwis doskonale znał ten dzień i wiedział, jakie ma znaczenie. Te uroczystości obchodzono również we Fromborku. Tego dnia w katedrze biskup święcił oleje niezbędne przy udzielaniu sakramentów: chrztu świętego, bierzmowania i sakramentu chorych.

Gdy wracał myślami do Wielkiego Piątku, jego kroki same zwolniły. Nawet miasto wydawało się wtedy cichsze, spokojniejsze, jakby wszystko na chwilę zamarło. Ten dzień, podobnie jak Popielec, był dawniej dla dorosłych dniem postu. Dzieciom podawano najczęściej pajdy suchego chleba. Nie rozpalano ognia w paleniskach. Unikano tłuszczu w potrawach. Urwis wyobrażał sobie ludzi siedzących przy skromnych stołach, jedzących prosty chleb i pogrążonych w zadumie.

Kot zatrzymał się na moment i spojrział w stronę cichych uliczek. W jego złocistych oczach odbijało się zamyślenie, jakby próbował zrozumieć, dlaczego ten dzień niesie ze sobą tyle ciszy i skupienia.

„Może nawet ziemia wtedy oddycha wolniej” – pomyślał Urwis, czując niezwykle powagę chwili. Przez chwilę miał wrażenie, że całe miasto wstrzymuje oddech razem z nim, czekając na coś ważnego i niewidzialnego, co dopiero ma nadejść. – „Może ten dzień uczy, żeby się zatrzymać i pomyśleć o tym, czego na co dzień się nie zauważa...” – zastanawiał się. Po chwili jego ogon lekko drgnął. – „A może nawet ja, mały kot, powinienem czasem zwolnić, tak jak to miasto dzisiaj...”.

Wielka Sobota była z kolei z jednej strony dniem żałoby po śmierci Chrystusa, a z drugiej strony dniem pełnym oczekiwania na jego zmartwychwstanie.

Kot wskoczył cicho na kamienny murek nieopodal kościoła i zamyślił się:

„To dziwny dzień... – pomyślał. – Taki pełen ciszy, a jednocześnie pełen ruchu, rozmów i przygotowań”.

Urwis widział, jak mieszkańcy niosą koszyki przykryte białymi serwetkami, wypełnione jajkami, chlebem, kielbasą i słodkimi wypiekami. Zastanawiał się, dlaczego wszystko musi być tak starannie przygotowane, jakby każdy gest miał swoje ukryte znaczenie. A na samą myśl o tych pysznościach ciekła mu ślinka. Czworonóg obserwował też ludzi, którzy adorowali Najświętszy Sakrament, modlili się przy Grobie Pańskim i korzystali z sakramentu pokuty.

„Może to nie tylko jedzenie i święcenie... – rozważał dalej. – Może to sposób, żeby pamiętać o czymś ważnym, czego nie widać na pierwszy rzut oka.”

Wieczorem czuł unoszący się w powietrzu intensywny zapach świec i dymu. A przed kościołami widział ludzi zbierających się, by święcić ogień i wodę. Przez chwilę siedział nieruchomo, wpatrując się w migoczące światła przed świątynią i poważne twarze ludzi.

– Może ta cisza nie jest smutkiem... – pomyślał. – Może to tylko chwila, w której świat się zatrzymuje, żeby przygotować się na coś nowego, dobrego.

A potem nadchodziła radosna Niedziela Wielkanocna. Już od samego rana cały imponujący Lidzbark Warmiński budził się w zupełnie inny niż zwykle sposób. Zamiast ciszy i zadumy w powietrzu unosił się gwar rozmów, śmiech dzieci i dźwięk dzwonów kościelnych, które rozbrzmiewały wysoko nad dachami miasta. Ulice wypełniły się odświętnie ubranymi ludźmi, którzy spieszyli na uroczyste nabożeństwo. W koszykach, które jeszcze dzień wcześniej były święcone, teraz wracały do domów pachnące potrawy. Wiosenne słońce ogrzewało kamienne mury, a rzeka odbijała jego złote światło, jakby całe miasto zostało rozświetlone od środka.

Czuł, że to dzień wyjątkowy – pełen radości, odrodzenia i nowej nadziei. Nawet wiatr wydawał się lżejszy, a drzewa poruszały się tak, jakby tańczyły w rytm świątecznej radości. Urwis patrzył na to wszystko z zachwytem, ale też odrobiną smutku w sercu. Brakowało mu jego właściciela – Mikołaja Kopernika. Choć otaczała go świąteczna radość, czuł, że chciałby dzielić te niezwykle chwile właśnie z nim. Na moment przysiadł spokojnie na ciepłym kamieniu i spojrzał w stronę dalekiej drogi, jakby spodziewał się, że jego pan zaraz się pojawi. Nawet piękno świątecznego miasta i wiosenny blask nie potrafiły całkowicie rozproszyć tej tęsknoty.

„Ciekawe, czy on też patrzy teraz w niebo... – pomyślał Urwis. – Może widzi te same światła, te same chmury, tylko z innego miejsca.”

Przez chwilę wyobraził sobie, że ich myśli spotykają się gdzieś wysoko, ponad dachami miasta i koronami drzew.

„Może radość nie polega tylko na byciu razem... – rozważał dalej. – Może to też umiejętność noszenia kogoś bliskiego w sercu, nawet gdy jest daleko.”

Kot westchnął cicho i spojrzał na bawiące się dzieci oraz śmiejących się ludzi.

„A jeśli ta nadzieja, o której wszyscy mówią, to właśnie to, że zawsze można do kogoś wrócić albo go odnaleźć?” – pomyślał na koniec, a jego złociste oczy znów rozjaśniły się delikatnym blaskiem.

Urwis spędził jeszcze jeden dzień w Lidzbarku Warmińskim. Zaraz po uroczystej niedzieli był Poniedziałek Wielkanocny. Zupełnie odmienny niż w innych częściach Polski. Tutaj, na Warmii, zamiast oblewania się wodą, chłopcy smagali dziewczęta po tydkach kadykiem, czyli gałązkami jałowca. Urwis aż zatrzymał się na chwilę, wyobrażając sobie ten zwyczaj, i cicho zamruczał z rozbawieniem.

– To dopiero dziwny zwyczaj! – wykrzyknął sam do siebie. – Na świecie naprawdę każdy dzień potrafi wyglądać inaczej...

Po chwili jego oczy zabłyśły ciekawością, a wąsy nieco się uniosły.

– Ale trzeba przyznać, że każdy zakątek świata ma swoje tajemnice. I właśnie to sprawia, że podróżowanie jest takie niezwykle. Warmia... – zamruczał, przekrzywił głowę i poruszył ogonem. – Gdybym miał tu zostać dłużej, pewnie zobaczyłbym jeszcze więcej takich niespodzianek. Ludzie naprawdę potrafią zamienić zwykły dzień w coś wyjątkowego... – powiedział zafascynowany tym, co widział.

Idąc dalej, dotarł na tętniący życiem rynek. Ludzie kupowali jajka, kiełbasy, mąkę i przyprawy. Stragany pełne były kolorów, a sprzedawcy nawoływali wesoło. Zapach wędzonych mięs i świeżych wypieków sprawił, że Urwisowi zaburczało w brzuchu.

– Chyba czas coś zjeść... – mruknął do siebie.

Wówczas między kamienicami dostrzegł niewielki domek. Był jasnoniebieski, z czerwonym, ceglastym dachem, a na drzwiach wisiał wykonany z zielonych gałązek i różnobarwnych kwiatów wielkanocny wieniec. Wokół domu rosły krzewy, na których pojawiły się pierwsze zielone listki, a niewielki ogródek wyglądał jak mały, spokojny zakątek odcięty od miejskiego zgiełku. Zaintrygowany tym widokiem Urwis podszedł bliżej i z kocią ciekawością zajrzał przez okno. W środku zobaczył rodzinę siedzącą przy stole. Panowała tam ciepła, radosna atmosfera. Śmiech i życzliwe rozmowy wypełniały całe pomieszczenie. Na stole stały białe talerze pełne jedzenia. Widok faszzerowanych jajek, kiełbasy i sałatki jarzynowej wzmógł apetyt Urwisa. Poczuł, że jego głód staje się nie do zniesienia. Zebrał się na odwagę i nieśmiało zapukał łapką w drzwi. Po chwili skrzypnęły cicho i otworzyła je dziewczynka o jasnych włosach i uprzejmym spojrzeniu.

– Ojej, co ci się stało, biedaku? – zapytała z troską, pochylając się nad Urwisem. – Jesteś taki zmęczony i chyba bardzo głodny. Skąd się tu wzięłeś? – pytała dalej i nie czekając na odpowiedź, wzięła go delikatnie na ręce i zaprosiła do środka. – Nie martw się, już jesteś bezpieczny – dodała łagodnie. – Chodź, ogrzejesz się i coś zjesz. Mama na pewno się nie pogniewa.

W domu było ciepło, pachniało jedzeniem i świeżością świąt. Rodzina przyjęła kota z uśmiechem, a dziewczynka, Klaudia, położyła przed nim kawałek kiełbasy. Urwis zjadł go z ogromnym apetytem i wdzięcznością, a potem położył się zadowolony u stóp dziewczynki. Mruczał cicho, jakby chciał w ten sposób podziękować za okazaną dobroć. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł się naprawdę bezpiecznie i spokojnie.

„Warmia jest piękna, a ta rodzina niezwykle ciepła i życzliwa. A Klaudia... cóż... jest empatyczna i wrażliwa. Potrafi dostrzec, gdy ktoś potrzebuje pomocy, nawet jeśli sam

o nią nie prosi. Jest opiekuńcza i serdeczna, a przy tym tak naturalnie skromna. Jej obecność zapewnia spokój i poczucie bezpieczeństwa” – rozmyślał Urwis.

– Dziękuję wam – powiedział cicho. – To najpiękniejsza część mojej podróży.

Wszyscy zamilkli na chwilę ze zdumienia, ale zamiast strachu pojawił się śmiech i jeszcze więcej serdeczności.

Po pewnym czasie Urwis wstał i spojrzał w stronę drzwi.

– Chciałbym zostać dłużej, ale ktoś na mnie czeka – dodał z uśmiechem.

Pożegnał się z rodziną i wyszedł na zewnątrz. Słońce powoli zachodziło, malując niebo odcieniami różu i złota. Miejski gwar cichł, a w powietrzu unosił się spokój świątecznego wieczoru.

Po długiej wędrówce Urwis wrócił do Fromborka, gdzie czekał na niego zmartwiony Kopernik. Gdy tylko zobaczył swojego pupila, jego twarz rozjaśniła się radością, w oczach pojawiła się ulga, a na ustach ciepły uśmiech.

Kot opowiedział Mikołajowi o swojej fascynującej wyprawie, o pięknym mieście, dawnych zwyczajach i wielkanocnej radości. Uczony uśmiechnął się tylko i spojrzał w niebo. Doskonale wiedział, o czym Urwis mówi. W jego sercu ożyły wspomnienia tych wydarzeń, które na zawsze pozostały w jego pamięci.

Tymczasem Urwis, zwinięty w kłębek na parapecie, wiedział już jedno – świat jest pełen historii, które warto odkrywać. A to był dopiero początek jego warmińskich przygód.





Jędrzej Tyszkiewicz

Szkoła Podstawowa nr 3 w Iławie, klasa IV

Orbitek zwiedza Warmię

Wiele lat temu na wieży we Fromborku znajdowało się obserwatorium astronomiczne należące do Mikołaja Kopernika. Pewnej nocy na drewnianej platformie, na której znany astronom zazwyczaj spoglądał w gwiazdy, siedział jego kot Orbitek, spokojnie obserwując niebo. Nagle jego uwagę przykuł jasny obiekt, który sprawił, że pomyślał o wyruszeniu w wielką podróż. Jego zapal jednak szybko zgasł. Kot wrócił do rozmyślań. Gdy zaczęło już świtać, Orbitek wrócił do środka wieży.

Przez cały dzień myślał o dziwnym blasku na niebie i o tym, co wtedy poczuł. Po zmroku postanowił, że wyruszy na wędrowkę. Niepostrzeżenie wymknął się z wieży i rozpoczął swoją przygodę. Po dniu podróży przez gęste lasy, zielone polany i małe wsie trafił do Gietrzwałdu, gdzie postanowił odpocząć. Podczas spaceru po mieście poczuł piękne zapachy dochodzące z drewnianego budynku. To była karczma. Jako że po tak ciężkiej wędrowce zgłodniał, postanowił wkraść się do kuchni i znaleźć coś do jedzenia. Jak pomyślał, tak zrobił.

Zapachy, które go tu ściągnęły, w kuchni były jeszcze silniejsze. Długo zastanawiał się, co zjeść. Gdy zobaczył sielawę, wszystko było już jasne. Od razu wskoczył na blat, złapał ją w pyszczek i uciekł z budynku. Niedługo po tym Orbitek wyruszył w dalszą drogę. Wędrując, przechodził przez miejscowości, takie jak Dobre Miasto, Garzewko czy Różynka. Wreszcie trafił do Lidzbarka Warmińskiego, gdzie znajduje się zamek biskupi. Postanowił wdrapać się na szczyt murów obronnych. Stamtąd zobaczył całe miasto! Łyna wyglądała jak srebrna wstążka. Widział też czerwone dachy domów i intrygujący błysk w zaroślach. Nagle nad jego głową przeleciał klucz gęsi. Jedną nieoczekiwanie zawróciła i złapała Orbitka. Lecieli tak przez chwilę. Niespodziewanie gęś puściła kota. Na szczęście spadł on na coś miękkiego. Okazało się, że trafił do miejsca, które obserwował z murów. Zobaczył tam różne skarby, naszyjniki, pierścionki, sztuce i inne błyszczące przedmioty. Nagle wśród nich coś się poruszyło.

Była to myszka o imieniu Frania, z którą kot od razu się zaprzyjaźnił i spytał, czy będzie chciała z nim podróżować. Przyjaciółka Orbitka od razu się zgodziła. Następnym miejscem, które odwiedzili, była Święta Lipka. Zobaczyli tam bazylikę, a w niej przepiękne organy. Chcieli posłuchać ich dźwięków, ale nagle się zacięły. Orbitek i Frania postanowili sprawdzić, co się stało. Okazało się, że w jedną z piszczałek wpadło

dużo kurzu. Myszka weszła do puszki i wyjęła z niej brud. Organy zaczęły znów działać, a przyjaciele wysłuchali muzyki do końca.

Potem wyruszyli w dalszą drogę. Idąc przez las, znaleźli niewielką dziuplę, w której zmęczeni podróżą postanowili się zatrzymać. Gdy zapadła noc, oboje zasnęli. Rano byli głodni, więc Orbitek zebrał kilka jagód rosnących na pobliskich krzewach. Po śniadaniu wyruszyli w dalszą drogę. Idąc przez las, trafili nad Jezioro Luterskie. Światło słońca odbijało się od fal niczym od złotych monet, a drzewa dookoła dawały cień. Kot i Frania postanowili, że zostaną tu na dłużej. Przy brzegu nagle coś wynurzyło się z wody. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że jest to wydra. Zgubiła swój kawałek bursztynu, który dawał jej odwagę. Przyjaciele postanowili jej pomóc. Mysz, szukając zguby na drugim brzegu, zobaczyła coś rudego w zaroślach. Była to wiewiórka. Zwierzę znalazło bursztyn wydry i oddało go właścicielce. Następnie Orbitek i Frania pożegnali się i opuścili las.

Po pewnym czasie trafili do Olsztyna, gdzie kot wraz ze swoim panem mieszkał kiedyś na zamku. Oprowadził po nim myszkę. Oboje postanowili, że pora kończyć przygodę i Orbitek opowiedział jej, że wraca do Fromborka, a mysz postanowiła mu towarzyszyć.

Pola Bierdziewska

Szkoła Podstawowa nr 10 w Olsztynie, klasa V







Klaudia Zarzecka

Szkoła Podstawowa w Sobiechach, klasa V

Wielka ucieczka Urwisa

Fromborskie wzgórze było miejscem ciszy i surowej nauki. Jednak dla Mikołaja Kopernika spokój był pojęciem względnym. Wszystko przez Urwisa, ogromnego, puszystego kocura o barwie tak intensywnie rudej, że miejscowi żartowali, iż Kopernik ukraść kawałek słońca i zamknął go w futrze, by móc prowadzić obserwacje nawet w pochmurne dni.

Urwis nie był zwykłym łowcą myszy. Był koneserem pergaminów i amatorem atramentu, który z upodobaniem wylewał na najświeższe obliczenia swojego pana. Tego wieczoru jednak Urwis poczuł zew, którego nie ukończyłyby nawet najtłustsze skrawki gęsi. Z okna wieży, gdzie Kopernik ustawiał swoje instrumenty, bił zapach wiosennego powietrza, zmieszany z morską bryzą znad Zalewu Wiślanego.

Mikołaj, pochylony nad drewnianym przyrządem do mierzenia wysokości ciał niebieskich, nawet nie zauważył, kiedy ruda kita mignęła w progu. Urwis, zwinniejszy niż ruchy planet w teorii, prześlizgnął się przez niedomknięte dębowe drzwi i ruszył w stronę schodów.

Ucieczka rudego kota nie była zwykłym spacerem. To była manifestacja wolności. Urwis pędził po kamiennych stopniach, a jego futro wydawało się płonąć w świetle dogasających pochodni. Wybiegł na dziedziniec, gdzie strażnicy właśnie zmieniali wartę.

– Hej! Czy to nie ogień? – krzyknął jeden z nich, widząc pomarańczową smugę przebiegającą między nogami.

– Nie, to tylko ten diabelski kot astronoma! – odkrzyknął drugi, unikając pazurów Urwisa.

Kopernik zorientował się dopiero kwadrans później, gdy cisza w pokoju stała się nagle podejrzana. Brakowało mu rytmicznego mrużenia, które zazwyczaj towarzyszyło mu przy kreśleniu tablic astronomicznych. Rozejrzył się. Miska była pełna, ale Urwisa nie było.

– Na wszystkie sfery niebieskie... – westchnął Kopernik, chwytając za latarnię. – Jeśli on wpadnie do studni albo, co gorsza, do piwnicy, będę musiał tłumaczyć się przed samym biskupem.

Tymczasem Urwis dotarł do murów obronnych. Jego cel był jeden – najwyższy punkt katedry, skąd widać światła Fromborka i daleki horyzont. Urwis wspinał się po rusztowaniach, które pozostawili murarze, poprawiając gzymsy. Był już wysoko, gdy po-

czuł na grzbiecie chłodny powiew. Zatrzymał się i spojrzął w górę. Nad nim rozciągała się Droga Mleczna.

W tej samej chwili pojawił się Kopernik.

– Urwisie, wracaj! Mam dla ciebie świeżą rybkę od rybaków – wołał, choć wiedział, że przekupstwo na rudzielca nie zawsze działa.

Nagle astronom uniósł głowę. Na tle księżycy, który właśnie wychylał się zza chmur, zobaczył sylwetkę kota. Urwis siedział na samym szczycie wieży, nieruchomy, idealnie jak posąg. Blask księżycy sprawił, że rude futro nabrało srebrzystego koloru, tworząc wokół dziwną aurę. Astronom zrozumiał, że ucieczka Urwisa nie była złośliwością. Kot, na swój zwierzęcy sposób, szukał tego samego, co on, perspektywy.

– Rozumiem – szepnął Mikołaj do siebie. – Ty też chcesz widzieć świat bez ograniczeń tych ciasnych ścian.

Nagle Urwis, jakby usłyszał myśli swojego pana, wydał z siebie potężne „Miau”, które poniosło się echem po całym Fromborku. Potem z gracją wskoczył w ramiona zaskoczonego astronoma.

Kopernik poczuł ciężar puszystego ciała i ciepło rudego futra. Urwis otarł się pyszczkiem o jego brodę, zostawiając na niej kilka rudawych kłaczków.

– Chodźmy już – powiedział łagodnie uczoney. – Ziemia się kręci, czas ucieka, a my mamy jeszcze mnóstwo pracy. Ja muszę udowodnić, że Słońce stoi w miejscu, a ty musisz dopilnować, żeby nikt nie ukradł mi kałamarza.

Tej nocy Urwis nie psocił. Usiadł na parapecie, wpatrując się w gwiazdy, a Mikołaj Kopernik, zainspirowany tą pogonią za Urwisem, dopisał jedną małą uwagę „ciekawość, która pcha w górę, nie zależy od tego, czy masz dwie nogi czy cztery rude łapy”.

Od tamtej pory we Fromborku mawiano, że kto spotka na murach rudy błysk w środku nocy, to znak, że wielkie odkrycia są tuż za rogiem. Urwis stał się legendą – kotem, który uciekł, by pokazać człowiekowi, że niebo jest dostępne dla każdego, kto odważy się na nie spojrzeć.



Urwis na Szeskiej Górze

Kocur zasypiał w swojej mięciutkiej baraniej skórce. Zanurzając się w głęboki sen, wspominał przygodę, jaką przeżył pod Szeską Górą...

Mikołaj Kopernik przeglądał książki. Jedna z nich spadła na ziemię. Podbiegł do niej kot Urwis i przyglądał się z ciekawością ilustracji, która przedstawiała olbrzymi, złoty zamek wylaniający się z pięknego wzgórza. Pomyślał, że może warto zobaczyć to miejsce. Przepych, bogactwo i otaczająca, magiczna aura przykuły mocno uwagę Urwisa. Kotek przeczytał legendę znajdującą się pod obrazkiem.

– Tak, to właśnie to! To jest cel mojej podróży! – krzyknął.

Kocur zawinął się w pośpiechu, wrzucił coś na ząb, chwycił książkę i wskoczył susem do jednej z pustych komnat. Nikt nie wiedział, że Urwis ma zdolności, których pozazdrościłby mu każdy człowiek. Urwis uniósł się, wpatrując się w ilustrację książki i czytując w słowa legendy o Szeskim Wzgórzu. Pokój zaczął się zmieniać, wszystko wokół wirowało. Kocur zamknął oczy. Po chwili je otworzył i ujrzał przed sobą przepiękny krajobraz. W dolinie pasły się owieczki. W powietrzu unosił się zapach polnych kwiatów. W oddali połyskiwało złoto. Kot pomyślał, że to pewnie jest zamek króla – czarnoksiężnika Bazylego. Zachwycony kocur poczuł, że czeka go wspaniała przygoda. Wdrapał się na wysokie drzewo i dostrzegł zamek otoczony domami, do którego postanowił się udać. Obok jednego z domów zauważył dziewczynę w podartych łachmanach i chłopaka, który pasł owce. Urwis przez dłuższą chwilę obserwował ich, szybko zorientował się, że ci młodzi ludzie są w sobie bardzo mocno zakochani. Można było dostrzec, że coś ich trapi. Po chwili dziewczyna w pośpiechu zaczęła iść w stronę zamku. Przed bramą zaczęła się rozglądać. W krzakach dostrzegła Urwisa, który za nią podążał. Zbliżyła się do zwierzaka. Kot nie wiedział, co ma zrobić. Dziewucha chwyciła go za grzbiet, zanim udało mu się zbiec. Następnie udała się ze zwierzakiem do zamku. Po wejściu do jednej z komnat zauważyła na szyi Urwisa obrozę z jego imieniem.

– Masz na imię Urwis – powiedziała głośno do kota. – Zostań tu, zaraz wrócę.

Dziewczyna wyszła, zamykając za sobą drzwi, a Kocur zdał sobie sprawę, że to była księżniczka Jarka, o której wcześniej czytał. Zastanawiał się, co robiła we wsi, dlaczego

była przebrana za chłopkę i kim był chłopiec, który pał owce. Nagle drzwi do pomieszczenia otworzyły się i ukazała się w nich Jarka. Rzuciła się na łóżko i głośno zapłakała. Kot nie mógł znieść szlochu dziewczyny, więc położył się obok niej.

– Zostaniesz moim przyjacielem? – zapytała rudego kotka dziewczyna i nie czekając na odpowiedź, rzekła przez łzy: – Tak wiele mnie trapi. Bardzo kocham Antka, ale mój ojciec nie pozwala mi spotykać się z prostym pasterzem. A ja nie potrzebuję bogactwa i pięknego zamku na wzgórzu. Moim największym szczęściem jest ten chłopak. Ojciec chce wydać mnie za mąż za zanego rycerza, ale ja nie zgadzam się na to małżeństwo. Niestety, ojciec mnie nie słucha. Chcemy być razem, więc chyba musimy uciec gdzieś daleko, gdzie rządy mego ojca nas nie dosięgną.

Kotek rozumiał każde słowo dziewczyny, ale nie wiedział, jak jej pomóc. Postanowił towarzyszyć jej w tej niedoli. Kiedy czarnoksiężnik dowiedział się o planach swojej córki, postanowił ukarać zakochanych. Zamienił pasterza w drzewo cisowe, a Jarkę uwięził w najwyższej wieży zamku. Na szczęście dziewczyna mogła zatrzymać przy sobie kota. Urwis starał się wspierać księżniczkę swoją obecnością. Jarka odważnie odrzuciła wszystkich kandydatów na męża wskazywanych przez ojca. Król Bazyl nie mógł się z tym pogodzić, więc postanowił zamienić swoją córkę w rzekę płynącą u podnóża Szeskiej Góry i w ten sposób na zawsze rozdzielić Jarkę i Antka. Urwis, siedząc nad brzegiem rzeki, ze smutkiem przyglądał się swej przyjaciółce. Nie mógł znieść okrucieństwa, jakie wyrządził dziewczynie Bazyl. Kot nagle dostrzegł, że nurt rzeki mocno podmywa zbocze góry. Po pewnym czasie potężna góra wchłonęła złocisty monument. Rudy kocur przez dłuższy czas odwiedzał swoją przyjaciółkę. Miło spędzał czas nad brzegiem rzeki, opowiadał o wydarzeniach ze wsi i o tym, że słuch po jej ojcu zaginął. Urwis odwiedzał również Antka. Godzinami przysiadawał pod cisem i opowiadał o rzece Jarce. W dolinie rzeki wyrosły kolejne małe cisy. Mieszkańcy okolic Szeskiej Góry często wspominali historię Jarki i Antka, a dolinę nazwali Cisowym Jarem.

Pewnej nocy Urwis, leżąc na szczycie Szeskiego Wzgórza i patrząc w rozgwieżdżone niebo, pomyślał, że jego misja już się skończyła. Widok gwiazd przypomniał mu, że powinien wrócić do swojego pana, Mikołaja Kopernika. Zażęknął też za baranią skórą, na której uwielbiał się wylegiwać. Wmyślając się w przyjaciela astronoma, zaczął wznosić się w stronę nieba. Zamknął oczy i po chwili stał w komnacie fromborskiej wieży, w której wciąż leżała otwarta książka. Kot popatrzył jeszcze raz na ilustrację przedstawiającą Szeską Górę i pomyślał, że będzie mu brakować pięknej księżniczki Jarki, cudownych krajobrazów roztaczających się z pięknego wzgórza i cisów rosnących w dolinie. Zaprzagnął tam powrócić, ale jeszcze bardziej marzył o spotkaniu ze swoim panem. Wszedł więc do komnaty Mikołaja. Nie przypuszczał, że Kopernik tak bardzo ucieszy się na jego widok.

Katarzyna Niesiobędzka

Szkoła Podstawowa w Lubawie, klasa V

WYRÓŻNIENIE
Ilustracja





Maria Sośnicka

Szkoła Podstawowa nr 2 w Olsztynie, klasa IV

Urwis pomaga spełniać marzenia

Gdyby chciało mi się mówić, opowiedziałbym Ci, Mikołaju, gdzie byłem przez ten ostatni czas. Ty odchodziłeś od zmysłów, wrywałeś z głowy swoje długie, faliste włosy i rozpaczałeś, gdzie jestem. Ja tymczasem przeżyłem największą przygodę w swoim kocim życiu.

A zaczęło się to tak...

Był piękny, słoneczny poranek. Ty jeszcze spałeś twardym snem po swoim całonocnym pisaniu prac o planetach. Ja chciałem, jak to zwykle ja, porządnie się najeść po nocy. Wszedłem z naszej pięknej, zamkowej wieży i wybrałem się nad Baudę, żeby wykraść kilka ryb wędkarzom. Już prawie miałem pstrąga w moim ostrym pazurku, gdy nagle usłyszałem płacz. Byłem ciekawy, co się stało, więc podszedłem bliżej dźwięku i wtedy coś usłyszałem. Była to rozmowa płaczącego wędkarza z mężczyznami. Brzmiało to mniej więcej tak:

– Co się stało, Benedyckie? – spytali chórem wędkarze.

– Moja córka Anastazja jest chora na chorobę, na którą jest tylko jedno zioło. Jest ich pięć w całej Polsce i okolicy, a najbliżej mam do Olsztyna – odpowiedział ze łzami w oczach Benedykt.

– O rany, a ile talarów kosztuje to zioło? – zapytał jeden z wędkarzy.

– Trzydzieści talarów. Mam już tę sumę, ale najbardziej mnie stresuje droga do Olsztyna – powiedział ze strachem w głosie Benedykt. – Na szczęście mamy ciotkę w Olsztynie, więc będziemy mieli, gdzie nocować. Ruszamy za godzinę. Najgorsze jest to, że marzeniem Anastazji jest zobaczyć miłego potwora, a potwory nawet nie istnieją... Nie chcę, żeby straciła wyobraźnię, więc ciągle mówię jej, że na pewno kiedyś go zobaczy. Nie chcę, żeby leżała w łóżku chora i smutna, przekonana, że marzenia się nie spełniają – dokończył smutno Benedykt.

Zrobiło mi się wtedy przykro, odechciało mi się jeść i nie brałem już żadnych ryb. Postanowiłem, że pojedę z nimi, bo lubię pomagać innym. Moje marzenie się spełniło, chciałem mieć właściciela, który będzie mnie kochał. Teraz ja muszę pomóc komuś innemu. Wziąłem moją ulubioną zabawkę, Pana Szczurka, wpakowałem się do wozu po kryjomu i wyruszyłem. Córka Benedykta też z nami jechała. Benedykt powiedział:

– Z moich obliczeń wynika, że z Fromborka do Olsztyna będziemy jechać około dwóch, trzech dni, razem z karczmami – rzekł Benedykt.

„Co? To straszne! Jak ja tu tak długo wytrzymam?!” – pomyślałem.

Wszedłem wtedy do jakiejś dziury. Mokro tu, brudno, niewygodnie. Przecież ja nie mogę wytrzymać pół godziny z Mikołajem bez ruchu na miękkim, puszystym i wygod-

nym posłanku, a tutaj... i to jeszcze trzy dni... Trudno, dam radę. Najważniejsze, aby zdobyć lekarstwo dla Anastazji. Zasnę i czas na pewno minie mi szybciej. I tak też zrobiłem. Przytulając Pana Szczurka, zasnąłem.

Nagle usłyszałem rżenie koni i to nie były te konie, które ciągnęły wóz. To były inne, obce konie. Okazało się, że zrobiliśmy przystanek w karczmie. Przyjechaliśmy tu, bo Benedykt i Anastazja (choć i ja też) chcieli się najeść i nawodnić. Korzystając z okazji, że nikogo nie ma, wyciągnąłem pazurka i szybko zwinąłem dwie pajdki chleba i jedną kielbasę. Pobiegnąłem szybko do dziury i tam coś odkryłem. W dziurze były inne dziury! Dziwne, prawda? Przez te dziury widziałem konie. Przez chwilę sobie z nimi porozmawiałem, ale szybko wróciłem do wozu. Jechaliśmy przez długi czas. Tak minęły dwa dni. Było cicho i słonecznie. Trzeciego dnia przyszła burza. Co chwilę słyszałem dziwne dźwięki. Benedykt powiedział, że ten dźwięk nazywa się grzmot. Ważne jest to, że w końcu dotarliśmy do miasta.

Pojechaliśmy po ziola na targ. Benedykt je kupił i od razu dał Anastazji. Przed nami nagle pojawiła się wielka, dziwna maszyna. Benedykt i Anastazja ledwo ją dostrzegli, bo zapatrzyli się na piękne kamienice. I nagle wjechaliśmy prosto w tę maszynę. Nie wytrzymałem i krzyknąłem z wrażenia. Wtedy wszyscy na mnie spojrzeli. Ups...

– Hmm. Cześć! – powiedziałem.

– Co do diaska? Kot? Jak się tu znalazłeś? Jechałeś z nami? – krzyknął Benedykt, po czym zapytał: – Czy ty naprawdę mówisz?

– Tak – nieśmiało odpowiedziałem.

– Jak masz na imię, kocurze? – odezwała się Anastazja.

– Teraz to nieważne. Ważne jest to, gdzie my teraz jesteśmy? – powiedział zdenerwowany Benedykt.

Zauważyłem coś dziwnego. Ludzie mieli w rękach świecące małe pudełka i ciągle się w nie patrzyli. Sytuacja była rzeczywiście niepokojąca, ale się w końcu odezwałem:

– Hmm, chyba nas przeniosło w czasie. Tylko mój Mikołaj nigdy nie mówił, że takie rzeczy się mogą wydarzyć, a on przecież wie wszystko!

Wtedy zobaczyliśmy duży budynek z napisem „URANIA”. Znowu pojawiły się pudełka, tylko większe, z kołami, jeżdżące i jeszcze z dachem!

– Chodźmy się przejść – westchnął Benedykt, patrząc ze zdziwieniem na to, co go otaczało.

Szliśmy przez duży park. Po drodze spotkaliśmy burego kota, który nazywał się Mruczek, i co ważne, on też mówił. Opowiedział mi, że jego pani ma na imię Marysia i że się bardzo dobrze uczy.

– To tak jak mój Mikołaj. On odkrył, że Ziemia kręci się wokół Słońca – powiedziałem.

Ale przejdźmy do rzeczy. Szliśmy drogą i nagle zobaczyliśmy kolejny budynek z napisem „AQUASFERA”. Nie mogliśmy się oprzeć, więc go obeszlśmy, potem chcieliśmy wejść do środka. Mruczek mi powiedział, że ta wielka kamienica, którą wcześniej widzieliśmy, nazywa się blok i tam właśnie mieszka razem z Marysią. Dowiedziałem się też, że jesteśmy w 2026 roku, czyli o ponad sześćset lat do przodu. Wow!

Przez szyby budynku, na którym było napisane „AQUASFERA”, widziałem, że w środku są wielkie kałuże, a ludzie się w nich kąpią! Dowiedziałem się, że to są baseny.

Nagle pod jakimiś długimi rurami usłyszałem głośnie „Aaa...!!!”. Siedziała tam postać, która miała kształt człowieka, ale dziwnie wyglądała. Nosiła wielkie, opięte galoty,

kolorowe okulary i obcisłą gumową czapkę. Potem okazało się, że te wielkie galoty to kąpielówki do pływania, obciste kolorowe okulary służą do nurkowania, żeby woda nie wpadła do oczu, a obcisła gumowa czapka to czepek. Jakies dziwactwa!

No i nie wiecie, co się wtedy wydarzyło?! Anastazja spełniła swoje marzenie! Sami posłuchajcie.

– Chwila, kim jesteś, dziwna istoto? – zapytałem.

– Nie rób jej krzywdy! – rzekł, zasłaniając Anastazję, Benedykt.

– Spokojnie. Jestem miłym potworem – powiedział stwór.

– Jak masz na imię? – zapytała Anastazja.

– Aqua Monster – odpowiedział miły potwór.

– Tatusiu, tatusiu! Widzisz, potwory istnieją i to takie dobre. Spełniło się moje marzenie! – pisnęła z radością Anastazja.

– Czyli co? Nasza misja zakończyła się sukcesem!!! – oznajmiłem z dumą.

– A ja mogę wreszcie wracać do Marysi, bo już mnie długo nie ma. Będzie się martwiła – wykrzyknął Mruczek.

– Czy mogę zostać twoim przyjacielem, Anastazjo? – zapytał nieśmiało Aqua Monster.

– No jasne! Tylko jest pewien problem... My mieszkamy we Fromborku i do tego w szesnastym wieku, a ty... – odpowiedziała, nie kończąc zdania, smutna Anastazja.

– Jeszcze nie wiemy, jak wrócić do domu! – rzekł smutno Benedykt.

– Przecież możecie wrócić do wielkiej maszyny, przez którą przeszliście. Stoi obok tej wielkiej kamienicy! – podpowiedział Mruczek.

– Chcesz przenieść się z nami? – zapytała potwora Anastazja.

– Oczywiście, że chcę! – odparł Aqua Monster.

Mruczek prowadził nas do tej kamienicy, a ja w tym czasie zadałem kilka pytań Aqua Monsterowi:

– Jaką masz moc? – zapytałem.

– Gdy ktoś gdzieś tonie, to od razu mnie w to miejsce przenosi i mogę uratować tę osobę – rzekł z uśmiechem Aqua Monster.

– A skąd masz ten strój? – zapytałem.

– Z Temu – oznajmił potwór.

– Z czego? – zapytałem ponownie.

– Z Temu. To taki sklep internetowy – odpowiedział radośnie wodny stwór.

Zupełnie nic nie rozumiałem, chciałem jeszcze raz zapytać, co to jest, ale Benedykt krzyknął:

– Patrzcie, już jesteśmy koło maszyny. Wskakujmy!

Na koniec dodam, że kiedy się żegnaliśmy, Mruczek wręczył mi długopis od Marysi. Powiedział, żebym przekazał go Mikołajowi, niech się już biedak nie męczy z tym kałamarzem i piórem.

Jak się domyślacie, wróciliśmy wszyscy cali i zdrowi do domu, do swoich czasów. Lekarstwo zadziałało. Anastazja jest zdrowa jak ryba u boku swojego nowego przyjaciela, a Benedykt już wie, że warto mieć marzenia.

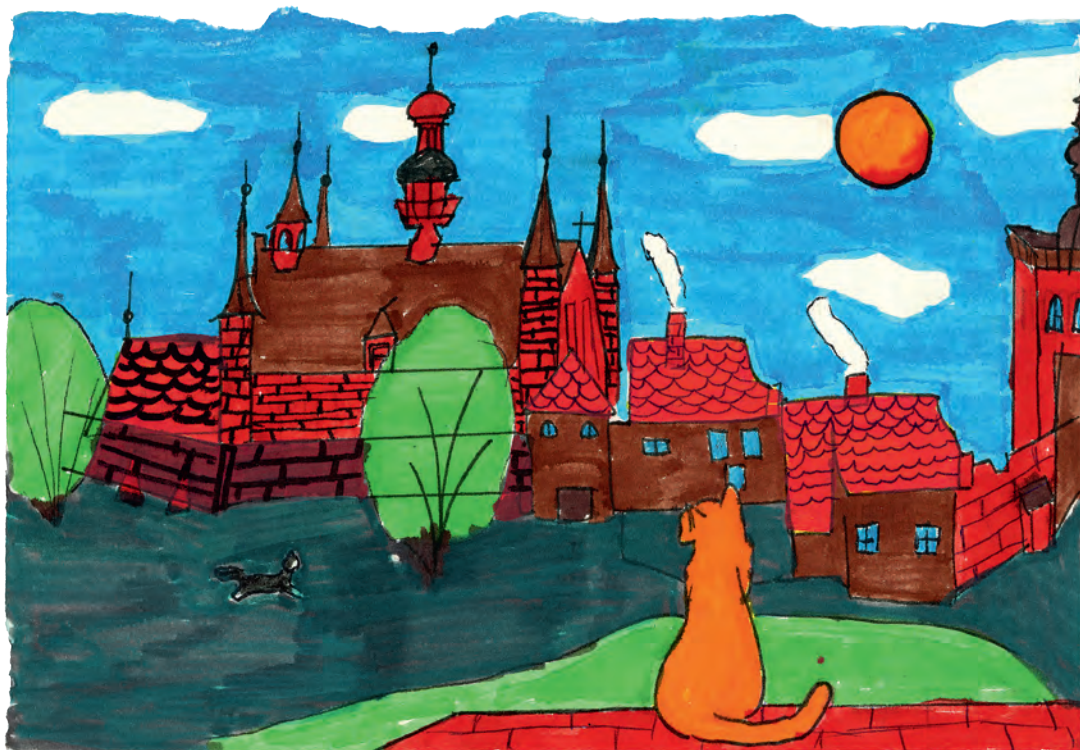
A Tobie, Mikołaju, przekazuję pamiątkę z Olsztyna.

– Miau...

Bianka Perżyło

Szkoła Podstawowa w Pieniężnie, klasa VI

WYRÓŻNIENIE
Ilustracja





Zuzanna Stolarczyk

Zespół Szkół Podstawowych w Bisztyнку, klasa VI

O tym, jak serce Urwisa zabiło do srebrnej Klarity

Wszystko zaczęło się dwa tygodnie wcześniej. Urwis gonił za wyjątkowo wredną i szybką myszą w piwnicach fromborskiego zamku. Nagle wpadł prosto na stare, ciężkie koło zębate. To był jakiś dziwny mechanizm, który Mikołaj przywiózł kiedyś z Włoch i trzymał jako ciekawostkę. Gdy Urwis trącił go łapą, coś strzeliło, błysnęło jasnym, błękitnym światłem i nagle... cały świat zawirował mu przed oczami!

Kiedy Urwis odzyskał przytomność, nie czuł pod łapami zimnych kamieni z Fromborka, ale gorący, czarny asfalt. Gdy otworzył oczy, przeżył totalny szok.

Znalazł się w samym centrum współczesnego Olsztyna! Wokół przemieszczały się ogromne, metalowe, głośnie stwory, które jeździły na kołach i strasznie ryczały oraz śmierdziały spalinami. Urwis czuł się przytłoczony, bo te wielkie stwory go otaczały. Ludzie w kolorowych ubraniach biegali wszędzie jak szaleni, nieustannie gapiąc się w małe, świecące prostokąty, które trzymali w dłoniach. Urwis, jako odważny kocur wychowany u boku wielkiego astronoma, postanowił, że nie będzie panikował. Nastroszył swoje rude futerko i ruszył przed siebie, starając się nie wpaść pod żadne z tych pędzących, blaszanych pudełek.

Przeszedł przez zielony park pod zamkiem i wtedy ją zobaczył. Na starym murze obronnym siedziała najpiękniejsza kotka, jaką widział w całym swoim życiu. Miała futro srebrne jak księżyc, który onieśmiała, i oczy zielone jak drzewa w pełnym rozkwicie w lesie. Miała na imię Klarita i od razu było widać, że to ona rządzi teraźniejszym Olsztynem. Urwis, zapominając o strachu, podszedł bliżej. Starał się wyglądać na kogoś bardzo ważnego.

– Hej, piękna! – zamruczał, wyginając grzbiet. – Skąd w tym mieście tyle hałasu? Dlaczego słońce świeci tu nawet w nocy, w tych szklanych kulach na wysokich patykach?

Klarita spojrzała na niego z rozbawieniem, leniwie się przeciągając.

– To latarnie, rudzielcu. A te hałaśliwe stwory to samochody. Skąd ty się w ogóle wzięłeś? Z jakiegoś muzeum? Wyglądasz, jakbyś urwał się z obrazu sprzed pięćset lat.

– Bo tak jest! Jestem pomocnikiem samego Mikołaja Kopernika! – ogłosił dumnie Urwis.

Przez kolejne dni Klarita pokazywała mu nową Warmię. Urwis co chwilę mrugał ze zdumienia. Byli razem na plaży nad jeziorem Ukiel, gdzie kocur o mało nie dostał zawału, widząc ludzi latających nad wodą na deskach z silnikami. Klarita śmiała się z niego, gdy próbował złapać rybę na ekranie telefonu, który ktoś zostawił na piasku. Próbowali też nowoczesnego jedzenia z puszek i plastikowych tacek. Choć było niezłe, Urwis po cichu uznał, że świeża ryba od swojego pana była o niebo lepsza niż te wszystkie nowe wynalazki.

Najfajniej było jednak wieczorami na dachu olsztyńskiego zamku. Klarita opowiadała mu o gwiazdach, których teraz prawie nie widać przez światła miasta, ale Urwis wiedział, że to te same punkty, które liczył z Mikołajem. Urwis zapytał ją, czy teoria Mikołaja Kopernika się sprawdziła, a ona powiedziała, że tak i cały świat myśli jak Kopernik. Od tego momentu kocur zaczął coraz bardziej wierzyć w wybitnego astronoma. Urwis czuł, że kompletnie traci dla Klarity swoją kocią głowę. Jej srebrne futro pasowało do jego rudego, jak słońce do księżyca.

Ale im więcej czasu mijało, tym bardziej Urwis tęsknił za zapachem starych kartek i dobrym panem Mikołajem Kopernikiem. Wyobrażał sobie, jak jego pan siedzi teraz sam w ciemnym zamku, smutny i zgarbiony, szukając go po kątach. Wiedział, że bez kociego mruczenia Mikołaj nigdy nie dokończy swojej najważniejszej książki.

– Muszę wracać, Klarito – powiedział smutno pewnego wieczoru. – Mój astronom beze mnie zginie. Kto go będzie budził na obserwacje? Kto mu ogrzeje nogi w mroźne zimy? On jest wielkim odkrywcą, ale czasem zapomina nawet o jedzeniu, jeśli mu o tym nie przypomnę głośnym miauczeniem.

Srebrna kotka podeszła do niego i delikatnie liznęła go w ucho.

– Idź, Urwisie. Prawdziwa miłość jest silniejsza niż czas. Ale pamiętaj, co noc, gdy wyjdzie księżyc, będę patrzeć na tę samą gwiazdę, co ty. Będę na ciebie czekać. Nie ważne, który będzie rok.

Urwis odnalazł drogę powrotną przez zamkowe piwnice, w których poczuł dziwne mrowienie na całym ciele. Skoczył w błękitną mgłę i... udało się! Wrócił. Teraz, leżąc na baraniej skórze we Fromborku, jest najszczęśliwszym kotem na świecie. Mikołaj znów pisze, a Urwis mruczy najgłośniej jak potrafi, marząc o Klaricie. Na jego rudym ogonie lśni jeden mały, srebrny włoszek – jedyny dowód na to, że kocia miłość potrafi pokonać nawet ponad pięćset lat. Choć dzięki Mikołajowi Ziemia ruszyła, to serce Urwisa bije w obu wiekach naraz.



Wielkie przygody Burego i Rudego

Jest rok 1516. Panuje mroźna zima. Trwają długie, ciemne wieczory. W jednej z komnat olsztyńskiego zamku, na parapecie, wyleguje się Bury. Duży, dostojny, niezwykle inteligentny i ciekawski kot. Czeką na swojego pana, Mikołaja Kopernika. Ktoś otwiera komnatę, a kociak znika w ciemności. Cel kotka to poszukiwanie swojego właściciela. Dociera do rynku Starego Miasta, serca Olsztyna. Zachwyca się architekturą. Nie wiadomo, kiedy trafia pod drzwi Karczmy nad Łyną. Niezwykle miły właściciel karczmy rozpoznaje kota. Wie, że należy on do Pana Kopernika. Zaprasza go do środka. Często go tradycyjnymi potrawami, dzyndzałkami i kartaczami. Na deser podaje mu olsztyński sękacz. Bury zasypia przy kominku. Śni mu się rok 2026. Spaceruje w ciepły, letni dzień cudownymi uliczkami Olsztyna. W pewnym momencie spotyka Rudego, swojego przyjaciela, i razem postanawiają kontynuować przygodę.

Nagle zobaczyli duże planetarium. Podejmują decyzję, by tam wejść. Bury i Rudy dostają się do środka. Pomimo dużej liczby ludzi pozostają niezauważalni. Przechadzając się między salami, trafiają do Doświadczalni Kopernika. To, co zobaczyli w środku, wbiło ich w osłupienie. Interaktywne eksponaty przypominające im wszystko to, nad czym pracuje ich pan. Układ Słoneczny uwięziony w kołach zębatych, lewitujące kulki przypominające planety, lasery jak promienie słońca. Od tego wszystkiego strasznie zakręciło im się w kocich głowach i stali się senni. Po kilku godzinach snu obudzili się w symulatorze łazika księżycowego. Byli trochę przerażeni, bo nigdy wcześniej tak nowoczesnego miejsca nie widzieli. Stali się uczestnikami przejażdżki po powierzchni Księżyca. Widzieli kratery, skały, historyczne miejsca misji Apollo. Wiedzieli, że jak wrócą do swojego domu i swojego pana, będą musieli mu to wszystko opowiedzieć.

Wieczorową porą opuszczają planetarium i udają się w stronę Starego Miasta. Stwierdzają, że zwiedzanie olsztyńskiej starówki po zmroku może być ciekawe. Mijają Wysoką Bramę, jedyną ocalałą z miejskich bram. Dalej mijają zamek kapituły warmińskiej. Dla nich jest to miejsce znane, bo przecież mieszkają tam razem ze swym panem. Dowiadują się, że ich niegdyś dom-zamek to dziś Muzeum Warmii i Mazur. Dostają się

do środka, a tam trafiają na wystawę poświęconą najbardziej znanemu mieszkańcowi zamku, Mikołajowi Kopernikowi. Ich radości nie było końca, bo teraz już wiedzieli, że ich pan w przyszłości będzie znaną postacią. Wychodząc z zamku, natrafili na tablicę astronomiczną, która strasznie przypominała im instrument używany przez Kopernika.

Przy moście prowadzącym na zamek natrafili na pomnik-ławeczkę, przedstawiającą siedzącego Mikołaja Kopernika. Z tablicy informacyjnej dowiedzieli się, że ławeczka powstała w 2003 roku z okazji pięćset trzydziestolecia urodzin słynnego astronoma. Postanowili usiąść astronomowi na kolanach. Nie wiadomo, kiedy kociaki usnęły. Gdy otworzyły oczy, był znów rok 1516. Trochę im ulżyło, że wróciły do rzeczywistości i zobaczyły Mikołaja Kopernika. Miauczającym opowieściom nie było końca. Sam Kopernik był pod wrażeniem aktywności kotów. Czuł, że musiało im się przyśnić coś niewyobrażalnego.

Magdalena Siwiec

Szkoła Podstawowa nr 3 w Lidzbarku Warmińskim, klasa IV

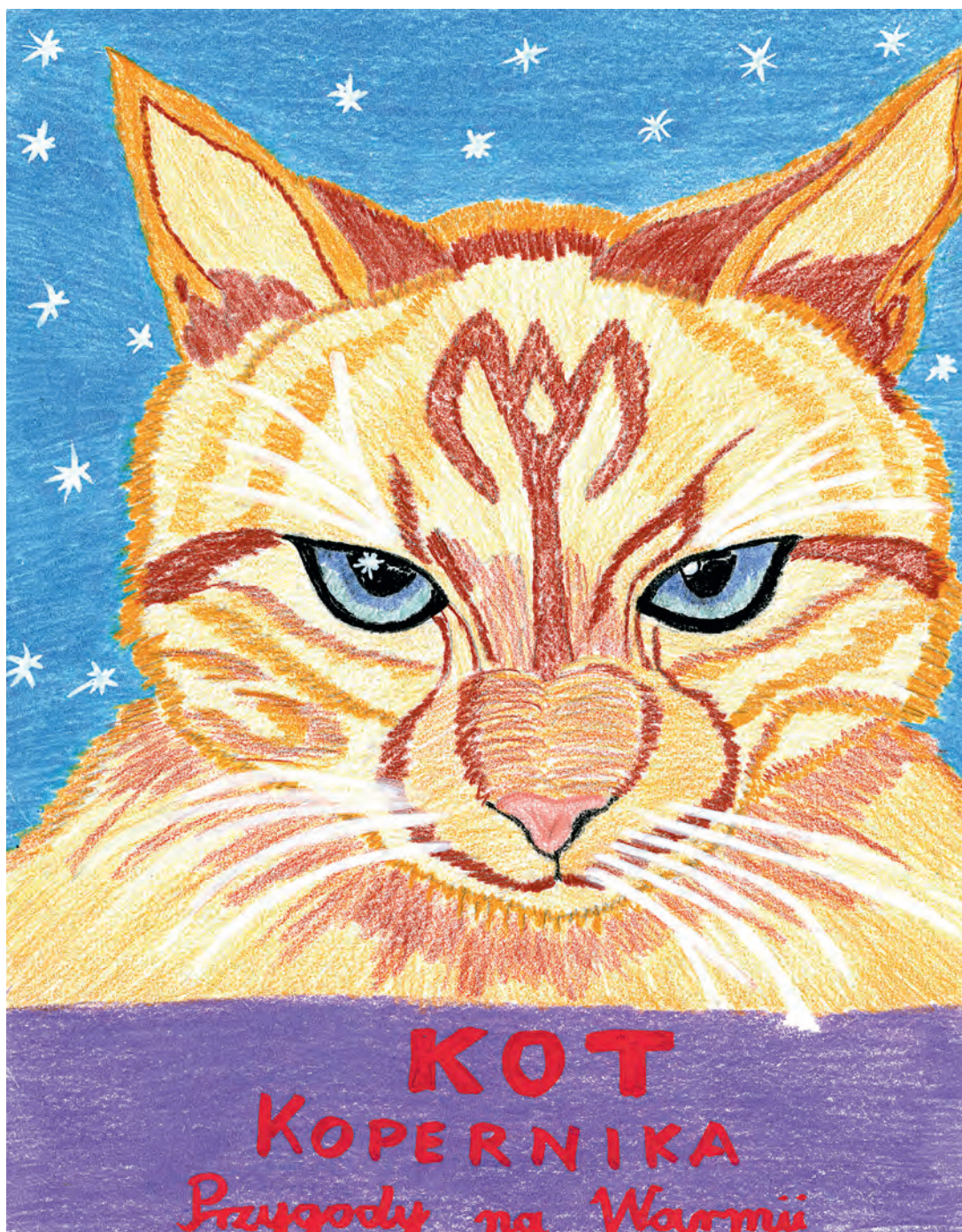
WYRÓŻNIENIE
Ilustracja



WYRÓŻNIENIE
Ilustracja

Pola Stanicka

Szkoła Podstawowa nr 5 w Braniewie, klasa V



Ty odkrywasz Ziemię, Urwisie, a ja niebiosa

W ciemnej komnacie, przy blasku ognia z kominka, wśród porozkładanych pergaminów, w głębokim fotelu siedział Mikołaj Kopernik, a tuż obok niego odpoczywał ukochany kot, zmęczony po swoich podróżach, zwinięty w rudy kłębek. Kopernik, znieczepliwiony tak długą nieobecnością pupila, wciąż zadawał pytanie:

– Gdzieś ty był, mój mały podróżniku?

Urwis przeciągnął się leniwie, zmieniając pozycję na swoim ulubionym legowisku, zmrużył oczy i spojrzał na właściciela. Nagle zeskoczył na podłogę i zaczął krążyć po komnacie i mrużąc, ocierał się o swojego pana.

– Skoro tak bardzo chcesz wiedzieć, gdzie byłem i co robiłem, to ci powiem – zamruczał Urwis.

Najpierw poszedłem nad Zalew Wiślany, by oczyścić myśli i zaczerpnąć świeżego powietrza. Siedziałem i obserwowałem, jak woda faluje, jak ptaki fruwać i podziwiają świat z wysoka. Zaciekawiony tym wszystkim postanowiłem wyruszyć w świat.

Szedłem wzdłuż brzegu, gdzie fale szumiały. Po drodze spotkałem rybaka, który poczęstował mnie rybą. Przez chwilę dotrzymałem mu towarzystwa, ciągle wpatrując się w delikatne fale. Po chwili rybak zapytał:

– Skąd przychodzisz i dokąd się wybierasz, mały wędrowniku?

Cicho miauknąłem w odpowiedzi:

– Tam, gdzie mnie łapy poniosą.

Chwilę później wyruszyłem w drogę, bo łapy rwały się naprzód.

Moje cztery nogi prowadziły mnie przez malownicze wsie, gdzie przy drogach stały kapliczki, stare domy, a w oddali na łąkach chodziły bociany. Ten świat był taki spokojny i piękny.

Z czasem krajobraz zaczął się zmieniać. Pojawiły się pagórki i wzgórza, skąd można było podziwiać cały świat. W oddali szumiały jeziora, a jedno piękniejsze od drugiego. Na jednym z nich spotkałem łabędzia.

– Dokąd zmierzasz, kocie? – zapytał królewski ptak.

– Szukam miejsca, gdzie jeszcze nie byłem.

– W takim razie idź dalej na południe – rzekł łabędź. – Tam krajobraz jest jeszcze piękniejszy.

Za radą łabędzia ruszyłem na południe. Wędrowałem przez lasy pachnące sosną, przez łąki pełne kwiatów i wzdłuż brzegów jezior, gdzie wiatr unosił zapach wody. Nocami spałem pod gwiazdami, a czasem w stodole u życzliwych ludzi.

Pewnego dnia obudziłem się nad rzeką Łyną. Nad wodą wisiała gęsta jak mleko mgła, przez którą nic nie było widać. To było bardzo dziwne uczucie. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej mgły. Nagle coś przebiegło obok mnie. Wystraszyłem się i schowałem w zaroślach. Obserwowałem z dala, co mogło mnie tak przestraszyć. Spostrzegłem, że był to szczur. Nie mogłem czekać i, jak na kota przystało, wykorzystałem swój instynkt zwierzęcy i zacząłem gonić stwora. Biegłem tak szybko i nie spostrzegłem nawet, że znalazłem się pod zamkiem w Olsztynie. A tu czekała na mnie kolejna przygoda.

Obok fosy zamkowej spotkałem psa.

– Zgubiłeś się? – zapytał kundel.

– A skądże! – prychnąłem zadziornie. – Ja tylko odkrywam świat.

Nie chciałem dłużej rozmawiać z psem, bo jak wiadomo, kot i pies nie darzą siebie sympatią, a ja nie szukałem zwady. Mnie fascynowało poznawanie świata, więc ruszyłem dalej.

Mijałem piękne budynki z czerwonej cegły, wzniosłe zamki, aż dotarłem na rynek, przy którym znajdowały się stare, zabytkowe budowle. Stały tam też ławki, na których było można usiąść i odpocząć. Wskoczyłem na jedną z nich i położyłem się, by odsapnąć i dać odpocząć moim czterem łapom.

Wkrótce wyruszyłem w dalszą drogę. Przemierzając gęste lasy pod Lidzbarkiem Warmińskim, spotkałem lisa, który właśnie wychodził ze swojej nory. Zmierzył mnie swoim chytrym spojrzeniem, jakbym naruszył jego prywatność, i poszedł w swoją stronę, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi. Mogłem dalej szukać przygód.

Pod Dobrym Miastem spotkałem bardzo miłą gosposię. Widząc, że jestem spragniony i wyczerpany, podeszła do mnie i pogłaskała mnie po głowie. Nakarmiła mnie tłustym mlekiem prosto od krowy i kawałkiem kielbasy. Jej delikatne głaskanie przypominało mi ciebie, mój panie, ale wiedziałem, że nie mogę się roztkliwiać, bo zamiast zwiedzać świat, wrócić do domu. To głaskanie gosposi nie dało mi spokoju. Obudziło uczucie, które nie chciało minąć.

Urwis trącił pyszczkiem dłoń astronoma i zaczął opowiadać dalej. Jak bardzo tęsknił za widokiem katedry we Fromborku, choć Warmia była piękna i nie brakowało myszy. Zrozumiał, że jego miejsce było przy boku Mikołaja, najpiękniejsze i najlepsze, jakiego nie ma nigdzie na świecie.

Kopernik spojrział przez okno komnaty na rozgwieżdżone niebo i powiedział:

– Ty odkrywasz Ziemię, Urwisie, a ja niebiosa.

Urwis spojrział mądrze, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko ziewnął i ułożył się wygodnie, bo przecież, jak każdy kot, mógł mówić... tylko nie zawsze mu się chciało.

Zasnął. Śnił o kolejnych podróżach, o których kiedyś opowie swojemu panu.



Spis treści

Marcin Kapłon, <i>Czy Mikołaj Kopernik miał kota?</i>	5
Od redakcji	6
Oliwia Kałuża, <i>Urwis i jego przyjaciele</i>	9
Oliwier Janik, <i>Tajna misja Urwisa</i>	13
Michalina Archacka, <i>Urwis i magiczna Warmia</i>	17
Tymon Woźniak, <i>O Warmio moja miła</i>	20
Hanna Wasilewska, <i>Gdybyś umiał mówić...</i>	23
Filip Łapiński, <i>Wielkie przygody kota Kopernika</i>	28
Maja Fafińska, <i>Urwis odkrywca</i>	32
Alicja Chołaścińska, Urszula Pożarska, <i>Podróż w przyszłość</i>	35
Dawid Skrocki, Mikołaj Jurek, <i>Opowiadanie o Urwisie</i>	38
Julia Własiuk, <i>Przygody Urwisa</i>	41
Maria Tymińska, <i>Urwis</i>	44
Zofia Jeżewska, <i>Koci urwis na łąkach</i>	48
Blanka Krasińska, <i>Urwis Kopernika</i>	50
Vitalij Koryśko, <i>Koty Kopernika kontra magiczna podróż po Warmii</i>	52
Anna Chołaścińska, <i>Magiczny kot Urwis</i>	55
Grzegorz Rynkiewicz, <i>Kot Urwis i podróże w czasie</i>	58
Lena Szczawińska, <i>Wędrowiec z Fromborka</i>	61
Piotr Dorosz, <i>Opowieść kota Urwisa</i>	64
Aleksandra Krawczyk, Michalina Sztachelska, <i>Warmiś i jego przygody na Warmii</i> ..	67
Jan Fuks, <i>Urwis, Chudy Stefek i inne koty...</i>	72
Marcel Wolarz, [Ilustracja]	77
Adrianna Banasiuk, [Ilustracja]	78
Aleksandra Ajewska, [Ilustracja]	80
Maksymilian Krzętowski, <i>Kot, który znał sekrety gwiazd</i>	81
Adam Mielczarski, <i>Urwis i podróż do przyszłości</i>	83
Berenika Brzuszkiewicz-Lidtko, [Ilustracja]	85
Nikola Suszyńska, <i>Strażnik nieba z fromborskiej wieży</i>	86

Laura Rzymowska, [Ilustracja]	88
Antoni Bucoń, <i>Jestem Urwis – poznajcie moją wędrówkę...</i>	90
Łucja Lullis, [Ilustracja]	92
Lena Klikowicz, <i>Urwis i tajemnica wiosennej Warmii</i>	93
Jessica Domagała, [Ilustracja]	100
Jędrzej Tyszkiewicz, <i>Orbitek zwiedza Warmię</i>	102
Pola Bierdziewska, [Ilustracja]	104
Klaudia Zarzecka, <i>Wielka ucieczka Urwisa</i>	106
Hanna Paczkowska, [Ilustracja]	108
Lena Marczuk, <i>Urwis na Szeskiej Górze</i>	109
Katarzyna Niesiobędzka, [Ilustracja]	111
Maria Sońnicka, <i>Urwis pomaga spełniać marzenia</i>	112
Bianka Perzyło, [Ilustracja]	115
Zuzanna Stolarczyk, <i>O tym, jak serce Urwisa zabiło do srebrnej Klaroty</i>	116
Celina Ptaszyńska, [Ilustracja]	118
Anastazja Szyńska, <i>Wielkie przygody Burego i Rudego</i>	119
Magdalena Siwiec, [Ilustracja]	121
Pola Stanicka, [Ilustracja]	122
Amelia Żabolińska, <i>Ty odkrywasz Ziemię, Urwisie, a ja niebiosy</i>	123
Marlena Garbowska, [Ilustracja]	125



Okładka stanowi kolaż ułożony z fragmentów prac nadesłanych przez uczestników konkursu „Kot Kopernika. Przygody na Warmii”. Elementy te pojawiają się również na stronach tytułowych i redakcyjnych oraz na mapie zamieszczonej na wewnętrznych stronach okładki książki.



Opracowanie redakcyjne i korekta
Anna Westfeld

Koncepcja graficzna
Elżbieta Skóra

DTP
Jakub Kozioł

ISBN 978-83-67734-42-2



Pracownia Wydawnicza ElSet
www.elset.pl



ISBN 978-83-67734-42-2



Pracownia Wydawnicza ElSet
wydawnictwo@elset.pl, www.elset.pl

